Stron 12 ...a pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena 20 zł.

wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 25 kwietnia 1948 r. Nr 17 (146)

W NUMERZE

między innymi:

J. Litwin, L. Sobierajski, J. Rogowski — Głosy o „Oświęcimiu"
S. Cieślak — O Czechosłowacji, o nas i optymizmie
M. N. Listowski — Na rowincji — myszy!
S. Ignar — Ruch „zaraniarski"
F. Fortini — Życiorys włoskiego intelektualisty
B. Majtczak — Wiersze
L. Gomolicki — Folklor jako zagadnienie społeczne
Z. Skwarczyński — Egzotyka wiejska dla inteligencji?
G. Szturchaniec — Nie róbmy Greków!

Jan Aleksander Król

W PROMIENIU PIĘĆDZIESIĘCIU WSI



TRADYCJE OBJAZDOWE

W niedawnym czasie 20 literatów odbyło wyprawy autorskie na wsie polskie. Któraż tu z dwóch tradycji została wznowiona? Jedna — na wsie — sięga jeszcze końca w. XIX, kiedy to Szarek, Bojko, Czuła wydeptywali nie tylko własny powiat, ale z krakowskiego przerzucali się na Śląsk, kiedy w niewiele lat potem „Zaraniarze" odwiedzali lubelskie i kujawskie, kiedy w latach międzywojennych pisarze chłopscy z „Wsi i jej pieśni" żywot pisma opierali na osobistych kontaktach autorskich z czytelnikami (nieprawdaż Antosiu?*), kiedy równolegle Młodożeniec, Skuza, Burek, Wiktor byli zapraszani przez mocniejsze Koła wiciowe. To jedna — chłopska tradycja.

Druga — mieszczańska. Wyjazdy na prowincję, metą trasy conajwyżej — miasteczko. Warto sobie przypomnieć „pasterskie misje" Boy'a. Zdobył 50 miast. W każdym znalazł grono entuzjastów i admiratorów. Zaczynał przed laty w „Zielonym Baloniku", w sytuacji społecznie bardzo niejasnej, w środowisku cyganerii literackiej, które zawisło poza „mydlarskim", filisterskim i urzędniczym mieszczaństwem galicyjskim i poza dostojnymi salonami i instytucjami kultury w szlacheckim monopolu. Z satyry na „narodowe świętości", na literaturę wieszczów, na chorobliwy kult sztuki, w której widziano główną i jedyną formę wyrazu narodowej twórczości, z tej satyry wyrosły z biegiem lat dwie rzeczy — przymierze z postępowym a liberalnym mieszczaństwem (zdobyta baza społeczna) i przedłużenie kultu w massach czytelniczych dla literatów, acz z rzędu „odbrązawiaczy geniuszów". W tej tradycji pisarz nadal był oczekiwany w Zamościu czy Kaliszu jako **literat** i nie dlatego, że na prowincji mieliśmy już tak wysoką kulturę, w której różniczkowałyby się zainteresowania, ale że do kultury dochodziło się tam po staremu przez jedno ucho igielne — literaturę.

Popularność Boya tłumaczyć trzeba tak, jak zdobycie Troi przez wprowadzenie do niej słynnego konia drewnianego. Boy odbierał kult należny literatowi według narodowej tradycji w tym stopniu, w jakim literatem nie był i nie chciał być.

Cała jego atrakcyjność, jako rzekomego pisarza, pochodziła stąd, że pod pióro literata pakował sprawy nie literackie, sprawy szersze — **kultury** (przemian obyczajowości, awansu społecznego, historii epok i środowisk), że był zajadłym reformatorem, publicystą, uczącym w granicach liberalnej filozofii, jak w konkretnym materiale stosunków społecznych, łączyć znane czytelnikom z osobistego doświadczenia fakty w związki przyczynowe, jak postępować od nich do uświadamiających się społecznie potrzeb i pragnień.

Tu tkwi źródło jego popularności, jako pisarza i biskupa na pasterskich objazdach. Prowincja potrzebowała i potrzebuje **przede wszystkim kultury**, a nie literatury. Kto jej wyjaśnia tę szerszą strukturę (kultury), kto ją przeprowadza przez kondygnacje „konstrukcji jej losu" (roli społecznej, zawodu, pozycji socjalnej, awansu społecznego), ten jest jej bliższy, jak przewodnik na drodze codziennej, na której ona znajduje się nieustannie. Niedziela poezji, sztandar poezji, powiewający na szczycie ukończonej pracy — to dalszy etap. A jeśli literatura na codzień to w tej samej roli. Nie tamująca procesu działania jednostkowego i społecznego, nie odwodząca i nie zastępująca! Bo dla ludzi prowincji — z miast, osad i wsi — każde słowo jest **nauką**. Pieśni kościelne i modlitwy to tam, na „siołach" — proszę panów — wciąż jeszcze wiedza podstawowa o świecie i przykazania na drodze życia. Oto, co znaczy — **w praktyce** — poezja!

O TOPOGRAFIĘ KULTUROWĄ POLSKI

Więc pojechało 20 literatów na wsie, w pojedynkę, na dzień, dwa, trzy, to tu, to tam, w przypadkowo wybrane wsie z gąszcza 50 tysięcy wsi polskich. Pojechali na zbliżenie literatury z ludem i na wywiad, jakaż to tam jest kultura czytelnicza, jakie gusty i potrzeby. Lepszy rydz, jak nic. Nie neguję tej wyprawy (choć porządnie kosztowała). Przeciwnie, „Czytelnik" położył wielką zasługę, że rozkazem sztabowym odkomenderował literatów na pozycje, które dotąd przypominały „antarktydy", na jakie wybierają się zwariowani amatorzy. Kończy się era — „co kto lubi". Pracujemy i piszemy dla narodu. Pękły kategorie klasowo-liberalne. Kultura narodu — to, dziś, kultura wszystkich Polaków jako troska, zadanie i cel.

Ale z kulturą po rewolucji nie jest tak prosta sprawa jak z polityką. Od dużych miast do wioseczek biegną linie skupień partyjnych. W granicach jednolitości tego rzędu przewalają się jednak przeciwieństwa i odmiany struktur i tradycyj kulturalnych. Dlatego przed nami staje zadanie: z jednej strony zniwelowania nożyc kulturalnych, z drugiej — nie utracenia bogactwa wątków kulturalnych. Na „dołach" jest bowiem nie tylko opóźnienie, jest też myśl konkretna ludu. Kiedy staje się on narodem, nie tylko **sam się zmienia**, ale i **on zmienia**. W tym co ma, czym dotąd żył, są rzeczy do odrzucenia, ale i są rzeczy, które stanowią narzędzia i siłę w jego awansie i nowej roli. Tak czy inaczej lud jest w tej chwili zastaną realnością kulturową, twardszą, bardziej ustaloną i pełniejszą, niż jego nawet najżarliwsza rewolucyjna świadomość polityczna. Dlatego podstawą planowej polityki kulturalnej musi stać się **szczegółowo naniesiona** na mapę Polski **topografia kulturalna całego a zróżnicowanego społeczeństwa.** Otwiera się pole dla **socjologii praktycznej**, w której usługi znakomite oddać mogą i powinny **setki tysięcy współpracowników.** Raporty literatów, którzy wyjechali na 2-dniowe wycieczki na wieś, bardziej ich charakteryzują, niż wieś. Z tego trzeba zdać sobie sprawę. I na tych opiniach nie można poprzestać. Koniec w wiedzy o kulturze społeczeństwa z metodą „pomachiwaj, pomachiwaj".

A jak wygląda przeciwstawna jej metoda? Oto jej zarys.

JEŻELI...

Wyjechałem — mianowicie — i ja na wieś, śladem moich kolegów literatów, ale broń Boże nie jako literat. Wyjechałem „rozstawnymi końmi" — na 50 wsi, nie rozstrzelonych a skupionych w jednym okręgu. I przyznam się tym razem — nie osobiście. Taką przyjąłem metodę. Więc kto pojechał? Nikt nie pojechał. **Poszło** natomiast w pięćdziesiąt wsi paru gmin pow. Jędrzejowskiego 70-ciu brygadzistów, słuchaczy U-L. w Pawłowicach. Poszli w 10 brygadach (każda od 3-ch — do 6 wsi), oddali w tej akcji 350 dniówek (po 5 dni każdy), rok pracy. Mniej więcej trzymając się ankiety („Wsi") wypisali sprawozdań na około 400 wielkich stron. Ta akcja — proszę panów — nie kosztowała państwo nic. Brygadziści poświęcili święta wielkanocne chłopom (nie pojechali do swych rodzin). Wędrowali piechotą po 20 km, często w jednym kursie. Bywali przeganiani, podejrzewano w nich „wyznawców Jehowy". Jedli nieraz dopiero wieczorem, kiedy przełamali zwycięsko uprzedzenia. Wkraczali w sprawy wewnętrzne wsi, przyjmowali sprawy miejscowe do załatwienia, tam u „góry". Siedli potem i napisali tę wielką książkę sprawozdań, również za darmo.

A jako motto tego wyznania **nowego** młodego pokolenia chłopów umieszczam, zgodnie z ich wolą, te słowa:

„Jeżeli wszystka młodzież kształcąca się w średnich i wyższych uczelniach pójdzie za naszym przykładem z pewnością zniknie ciemnota w wioskach i miasteczkach naszego kraju".

Któż to wzywa do naśladownictwa studiującą młodzież? I na czym polega ów wzór działania, którego naśladownictwo, jak zapewnia apel, podniesie kulturę wsi i miasteczek w całej Polsce?

Wezwanie padło z ust młodzieży, której formalny poziom wykształcenia waha się między 3 oddziałami szkoły powszech. a 2 gimnazjum i powiatowej szkoły rolniczej.

Jeśliby założyć, że jej plan upowszechnienia kultury jest słuszny i skuteczny, to adres apelu ma wymowę. Wy z liceów i uniwersytetów o ileż posiadacie bogatszy kapitał wiedzy. Jest Was razem 150.000. Co za potężna armia szturmowa! Myśmy w 70-ciu poruszyli (w pięć dni) 50 wsi... 70 tysięcy takich, jak my, poruszyłoby wszystkie wsie w Polsce. Uderzenie 150-tysięcznej armii młodzieżowej na wsie i miasteczka w 3-ch okresach rocznych — Boże Narodzenie, Wielkanoc, wakacje — to nie „pomachiwaj, pomachiwaj..."

Pozostaje nam sprawdzić wartość i znaczenie akcji brygadzistów U.L. w Pawłowicach.

Posłuchajcie...

NOWA WIEDZA

Nowością Uniwersytetu Ludowego w Pawłowicach jest to, że jego słuchacze wywodzą się z różnych organizacji. Są tu Wiciarze, Zetwuemowcy, Omturowcy i niezrzeszeni. Ich plan akcji był owocem jedności i zgodności szerszej nawet od między-organizacyjnej.

Plan akcji?... Taktycznie bardzo trudny. W okresie wielkanocnego wódkochlania na wsi zdobyć chłopów dla poważnych odczytów i rozmów? Zdobyć na 4, a nawet 7 godzin? Zdobyli wszędzie!

Program? Jakże trafny. Poszli z „nowiną" o stuleciu „Wiosny Ludów". Była to dla nich zarazem teoretyczna podstawa akcji. Co mogli wiedzieć — spytacie. Z której rączki czerpali? Tu niespodzianka. Nie ma jeszcze pełnej rewizji historycznej w podręcznikach, nie ma jej w głowach (najczęściej) nawet gimnazjalnych belfrów. Oni czerpali z pierwszej ręki. Z pierwszego naniesienia, jakie dały czołowe pisma literackie i społeczne. Tak, dowiedzieli się od Werfla (Twórczość, Nowe Drogi) i Land...iego („Wieś") „o klasowo-rewolucyjnym i narodowościowym przebiegu Wiosny Ludów w Europie i w Polsce", dowiedzieli się od Kr...i (Kuźnica, Wieś) i Kruczkowskiej („Wieś") „skąd się wywodził kapitalizm", „jak się przedstawiały stosunki społeczne w Europie, sięgając aż rozwoju przemysłu w Anglii (wynalezienie maszyny parowej i masowej produkcji fabrycznej)" „o wyzysku chłopa i robotnika przez kapitalizm i bezwzględnym rządzeniu monarchów w pierwszej połowie XIX w.", „co robotników i narody uciemiężone 100 lat temu spowodowało do buntu", „co pisał Mickiewicz w Trybunie Ludów i do czego nawoływał socjalistów utopijnych", „co robiła rozhulana szlachta, żyjąca z pracy chłopa" („Wieś"), „jak to Ks. Ściegienny poprzedził Złotą książeczką i marszem na gubernatora w Kielcach Wiosnę Ludów" (Sowiński—Kuźnica, Wieś, Syska—Wieś).

Uprościli, unaiwnili — zapewne. Ideał sięgnął bruku. Ale zdobyli nowe ujęcie, nowe zrozumienie historii. A uproszczenie na „ich rozum" to zarazem uprzystępnienie, przełożenie na język wsi nowej wiedzy, nowej oceny. Oni tym „naiwnizmem" więcej zdziałali dobrego, niżby to potrafił nagle przeniesiony literat piękną polszczyzną literacką i uniwersyteckimi konstrukcjami intelektualnymi.

Ach, jak ich jest 70-ciu, tak 70-ciu na wyrywki wyprało dokładnie to samo. I to było ich dumą. Mają jedną, wspólną wiedzę a idą w różne sytuacje społeczne. W każdej brygadzie reprezentanci trzech organizacji i niezrzeszonych a **jeden front!**

W pewnej wsi, syn wójta, licealista, wdał się z nimi w spór o znaczenie Mickiewicza. Mickiewicz nie był — jego zdaniem — nadzwyczaj wielkim człowiekiem. Życiem chłopa nie żył, bo był szlachcicem. Cechą jego była wielka uczuciowość. Doli tym nikomu nie polepszył. A zdaniem VI brygady — brzmiała odpowiedź — Mickiewicz jest wielkim człowiekiem, żył bowiem dla milionów przez to, że w czasie niewoli budził iskrę nadziei w lepsze jutro w sercach **rodaków i ludów Europy**, że w „Trybunie Ludów" za socjalistami utopijnymi na tamte czasy pierwszy wskazywał na lud jako na podstawę narodu i w jego walce widział nową lepszą przyszłość narodów.

A co się zaś tyczy pochodzenia, to Dembowski też był szlachcic i Waryński a Marks mieszczanin, ale **wszyscy na swoje czasy rewolucyjni, a to jest najważniejsze.** Licealista, syn wójta obraca się wewnątrz tej tradycji „naukowej", która apogeum dla Mickiewicza znajdywała w jego mistycznym okresie towianizmu. Licealista rewiduje tę tradycję i osiada na mieliźnie jałowego ubezwartościowienia. Morał pozostaje jeden: nie ma wielkich wzorów. Tą drogą szła przedwojenna młodzież mieszczańska. Dla brygadzistów U. L. zwalił się jeden system wartości, wyrósł drugi. I w drugim (przez „Trybunę Ludów") idą nie tylko z Mickiewiczem, ale i za Mickiewiczem. Mają siłę nie tylko wiedzy ale i wzoru! Sens zadania dla nowego pokolenia chłopskiego.

W innej wsi słuchający ich licealiści, pytali, skąd oni tak szczegółowo znają okres „Wiosny Ludów", bo w gimnazjach tego nie uczą, tylko „pobieżnie" i dopiero teraz uzupełnili swoje wiadomości.

W PIERŚCIENIU 50 WSI

W pierścieniu 50 wsi (pow. Jędrzejowski) wokół Pawłowic, jak wykazuje raport brygadzistów (w przybliżeniu), połowa wsi znajduje się daleko od traktów, gminy, miast, stacyjek kolejowych; 3/4 z nich kryte słomą, o starych domostwach, często bez „mebli" i

*) Antoni Olcha, współredaktor „Wsi i jej pieśni" w Naprawie na Podhalu.

podłogi. Prawie wszystkie bez dróg bitych i chodników, bez elektryczności. W 12-tu szkoły powszechne (3 — 7-mio oddziałowe 2 — 6-cio, 2 — 3-oddz., 4 — 4-oddz., 2 — nieokreślone), tylko z 8-miu wsi młodzież w gimnazjach (od 3 do 16 osób), w 15 wsiach partie polit. (SL, PPR, PPS, nie wszędzie wszystkie), w 10 Wici, w 4 ZWM i OMTUR, w 14 wsiach kościoły, w 7 — katol. Zw. Caritas, w 9 — ZSCh, w 7 — spółdzielnie, w 8 — sklepy prywatne, (w 3, po 2 i 3), mało gdzie świetlice, trzy własne Domy Ludowe, 6 biblioteczek przy szkołach (jedna o tysiącu tomów).

Pisma na 15 wsiach. Przoduje „Rycerz Niepokalanej", „Niedziela", konkuruje „Rolnik", „Chłopska droga", „Zielony sztandar", dalej „Wici", pojawia się „Głos Ludu", „Robotnik". Na wielu wsiach wcale nie czytają książek i pism. W 5 wsiach jest PRW, pozatem nigdzie instruktora rolnego, nigdzie (poza szkołą i plebanią) gromadzkiej czytelni i instruktora czytelnictwa. Większość wsi na ziemi piaszczystej lub bagnistej, większość o gospodarstwach małorolnych.

Przedstawmy ten obraz w inny sposób. Oto kontury paru wsi. **Sadki** (gm. Nowarzyce) — ludzie biedni, strzechy, domy bez mebli, daleko od traktu i gminy, nie ma szkoły, kościoła sklepów, brak organizacji, nowozałożony ZSCh, przyłączony do 2-giej wsi. Setka młodzieży, chodzą luzem, nie czytają ani książek, ani pism, brak świetlicy, nikogo ze wsi w gimnazjum.

Popowice nad Białą Nidą — lasy, bagniska, wieś zabita deskami, żadna partja tam nie dotarła ani organizacja. Nie ma spółdzielni, ani lichego nawet sklepiku. Brak nawozów sztucznych lepszych narzędzi rolniczych, ożenki powszechne już w 16 — 18 r. życia. Kościół.

Mokrsko Dolne i Górne (gm. Raków), w pierwszym ani spółdzielni, ani sklepu, w drugim 2 sklepy i spółdzielnia. Trzy partie (SL, PPR, PPS) kościół, błoto, brak szosy i mostu. Najbardziej atrakcyjna plebania. Ksiądz wypożycza książki i to jakie: „Rozważania na czasie". Niećki „W. Witos a państwo polskie" (Kory), „Na placówkach życia", „Synowie ziemi". Jak ludowość to ludowość... byle z przed 50 laty. I przy tym wszystkim najlepiej chłopi są powiadomieni o tym, że Polsce zagrażają baptyści i wyznawcy Jehowy. Ksiądz wokół kościoła posadził kwiaty i wystawił ławki. Jest park, kultura, promenada, i świetlica na powietrzu pod kościołem... a dalej błoto, bezdroża i Nida bez mostu.

SPOTKANIA

Kiedy brygadziści schodzili ku wsiom z piaszczystych wzgórz, poprzerzynanych jarami w których teraz wiosną szumi woda — albo kiedy wynurzali się z lasów i z nad bagien, najczęściej witała ich na początku nieufność. W większości wsi dopatrywano się w nich agitatorów „kociej wiary", sekciarzy innowierczych („Świadkowie Jehowy") Trafiali na wsie, gdzie były wesela, zabawy, gdzie młodzież „Caritasu" już, już miała odegrać zbożną sztuczkę, trafiali (w dniach poświątecznych) na ludzi zajętych pracą w polu, przy naprawie drogi, przy rozbieraniu zniszczonych domów, trafiali na sołtysów, którzy żądali pisma z gminy, był taki, co rzekł „chłop i tak skona, a te zebrania nic mu nie dadzą", było dwóch panów komendantów Milicji, palących się do zabawy, ci rzekli, że zebranie brygadzistów „nie liczy się" — a przecież wszędzie i zawsze wychodziło na to, że weselnicy wraz z orkiestrą przenosili się na zebrania, aktorki ze sztuczki „Caritasu" uciekły aby nadziwić się brygadzistom, którzy również występowali w roli aktorów w inscenizacjach i piosenkach. Chłopi porzucali robotę i w południowej nawet porze pozostawali na parę godzin posłuchać... Na 50 wsiach mieli 8000 słuchaczy nie licząc dziatwy szkolnej. Od 60 do 300 i więcej osób na wsi.

Bywało pomyślnie i od samego początku. Był sołtys, co ledwie mu cel wyłożyli, wziął trąbkę i dobrze zatrąbił, „a ludzie jeden przed drugim szli zaraz na zebranie". Taki obyczaj i dyscyplina społeczna. Były partie, to na wyścigi członkowie PPR, SL. i PPS-u wystawiali, jak z pod ziemi 300 słuchaczy. Trafiali na Wiciarzy, ZWM-ców, albo Omturowców, pogotowie młodzieży ściągało starszych. We wsi zamożnej po rozmowie z najbogatszym chłopem (co to u niego plan w robocie), migiem zeszli się chłopi. Podziałał sąsiedzki snobizm i prywatna przychylna opinia wielkomorgowca.

I dziwna rzecz. Im bardziej zacofana wieś, za lasami, za wzgórzami bez szkoły, organizacji, świetlicy po przełamaniu naturalnej nieufności, tym większy wybuchał entuzjazm, tym silniejsze bywało wrażenie. Tam gdzie mówiono dotąd: „najlepiej nie należeć do żadnej organizacji w dzisiejszych czasach", gdzie chłopi zadowoleni byli z tego, że do nich nikt nie zagląda tam, „pchali się do stołu najbliżej, jakby zjeść chcieli nasze słowa, bo nigdy nie słyszeli takiej głębokiej treści, wstawali z ław, uciszali dzieci, a bywało, że pasem sprał; za nieuwagę i chichoty". Określali ten dzień, jako zwrotny w życiu ich wsi, „zrobili krok naprzód", „byliśmy — piszą brygadziści — jakby tym słońcem, które budzi z zimowego snu do nowego życia". Chłopi sami dziwili się, że z pól i od pracy zeszli ale nie żałują, nie są zmęczeni i jeszcze chcą słuchać. Słuchali i po 7 godzin i nadto zostawali (prosząc o to) na zebraniu urządzonym dla młodzieży, aby jeszcze... Aby jeszcze równało się nieraz odprowadzeniu brygadzistów przez całą gromadę daleko poza wieś. Stali pod krzyżem aż póki młodych posłów nowej prawdy nie zakrył las.

Brygadziści U. L. z Pawłowic (w środku kierownik Uniwersytetu Babinicz) przed wyruszeniem w teren.

MOŻLIWOŚCI ZAPÓŹNIONYCH ŚRODOWISK

O Mickiewiczu „coś" słyszeli, o Wiośnie Ludów prawie nic, o ks. Ściegennym wcale. Ale kiedy im wyłożono, na kilkudziesięciu wsiach podniosły się te same okrzyki „Trzeba takich nam księży, jak ks. Ściegenny, a nie jak ks. Szyndler... Księża winni się na nim wzorować!" Raz złożyło się tak, że młody kleryk za wzór podał autora Złotej Książeczki, raz tak, że dzieci z 6 oddziału wiwatowały, bo one się właśnie w szkole uczą o Złotej Książeczce, to wiedzą, to prawda, akurat tak samo!

Zapalali się chłopi. Padały pytania: „dlaczego wówczas nie zwyciężono choć całą Europę ogarnęła ta chęć?" „Dlaczego Polska nie zajęła ważniejszego stanowiska?"

„Dobry kanarek z Meternicha, nie gorszy jak Hitler". Kiedy brygadzistki mówiły o potrzebie nauki dla dziewcząt, o równych prawach, w wielu wsiach nie tylko biły brawa kobiety, ale przytakiwali chłopi: „tak jest, kobieta powinna brać udział we wszystkim jak i mężczyzna". W kościelnych odzywały się głosy „kobieta musi stać za mężczyzną, jak w zwyczaju"... Pytali gospodarze: Dlaczego tyle organizacyj młodzieżowych i do czego dążą? Brygadziści odpowiadali: do tego samego, do poprawy bytu chłopów i robotników... To niechby była jedna wspólna — radzili przekonywująco chłopi ze wsi oddalonych od traktów, gminy, kolei. Właśnie tam. A wszędzie brygadziści śpiewali cztery hymny: Wici, ZWM, OMTUR i Federacyjny. O „Służbie Polsce" w tych zabitych deskami wsiach nic nie wiedziano, tyle, że przyszły „powiastki" po niektórych chłopców. Na co ona jest? — „S. P. przyczyni się do odbudowy kraju w szybkim tempie i ułatwi młodzieży zdobyć kwalifikacje w nauce i różnych zawodach". Była to na wielu wsiach pierwsza informacja o „Służbie Polsce".

Ale grunt jest przygotowany. Dziwnie, ale jest. Należy to bliżej wyjaśnić.

Dzieje Europy i chłopów sprzed 100 laty wytworzyły na opisanych, zacofanych wsiach, atmosferę, w której słuchacze czuli się dobrze, bo dla zrozumienia tamtych wydarzeń mają wiele naturalnego kapitału wiedzy. Są jakby o jeden etap tylko dalej. Jakby „tamto" z wczoraj pochodziło. „Że naród był ciemny — mówili — to nie mógł się wyplątać z tej pętaczki, ale i teraz jest jeszcze dużo nieoświecenia i zacofania". A mówili to właśnie — zacofani. Zapóźniona formacja kulturowa a przeszłość kulturowa to dwie różne sytuacje. Zapóźnienie sąsiaduje z współczesnością. I albo ta ją utrwala, albo ją ku sobie porywa. Jedno jest widoczne. Z zapóźnienia wcale nie wiedzie droga poprzez etapy, jakie odbyło w bardziej „normalnej" historii analogiczne środowisko. Zapóźnienie wytwarza próżnię i od współczesności tylko zależy o ile ogniw pomoże z niego wyskoczyć. Przy większym zapóźnieniu anachronizm jest tak wymowny, że kiedy środowisko nawet się cofa przed nowatorstwem, punkt, jaki przyjmuje w kompromisie leży dalej od jego dawnej wewnętrznej pozycji, niż od tej przed jaką się broni. Exemplum. Na pewnej wsi chłop gardłował za ostrożnością wobec Związku Radzieckiego bo tam kołchozy i przymus — a zamknął swą wypowiedź oburzeniem na brak instruktora rolnego, „czekamy i czekamy aby pokierował całą gospodarką wsi, bo inaczej kuńca z kuńcem nie zwiążemy". A przecież ich jeszcze nie ma, nie stanowią nowej i stałej instytucji. Co więcej, chłopom nie o instruktora PRW idzie, ale o takiego „do rzeczy", co nimi by dowodził, a nie dopiero sposobił młodzież. Tęsknota za instruktorem rolnym jest powszechna. Prawie w każdej wsi dochodziła do głosu. W kilku nawet zobowiązywano brygadzistów, aby go wytrzasnęli koniecznie. W tym samym szeregu stoi szkoła, elektryczność, szosa, również teatr, biblioteka i kino. Kino które by pokazywało lepszą technikę rolniczą, elity nasion i hodowli. Charakterystyczne, to w biednych, zapadłych wsiach lista marzeń bywała najdłuższa. Tam, gdzie niewidziano nawozów sztucznych i lepszego sprzętu rolniczego najgorręcej o tym mówiono.

Pytacie, czy czytają? Nie czytają, bo nie mają co. Nie wiedzą, że z gminnej biblioteki można wypożyczać, że w Jędrzejowie można zamówić w „Czytelniku" jakie się chce książki. Ale... do Jędrzejowa albo Kielc daleko, ale co wybrać?... Ale, żeby był taki coby im „przetłumaczył" książki. W tym słowie „przetłumaczył" mieści się cały etap możliwego a nie spełnionego postępu. Wyraża ono: instytucję — czytelnię wiejską wraz z instruktorem czytelnictwa, wraz z organizatorem składek i zakupów, wraz z salą odczytową i „klubową", wraz z prelekcjami i dyskusjami na temat powieści ich wyboru i wartości. To nie żart, z niebywałą satysfakcją słuchali chłopi streszczeń szeregu powieści. Ta mi się podoba, mówili na koniec, tę bym kupił. I tu sprawa znów wracała do tej nowej organizacji, którą wyraża słowo „przetłumaczyć" książkę, a bez jakiej nie będzie się czytać ani książek, ani pism. Brygadziści zalecali z omówieniem krótki rejestr książek. Gdyby były, czytaliby. Gdyby urządzał ktoś dyskusje, jeszcze bardziej. Brygadziści podawali te, które sami wyczytali, czy też przepracowali pod kierownictwem. Część z nich byłaby dla chłopów za trudna (chociażby moja książka). Streszczali Skierskiego. Ich urok, ich autorytet, jaki zdobywali sobie w oczach chłopów był dostateczny, aby wpakować chłopom w rękę nawet Skierskiego. Gdyby jeszcze zjawiali się „choć co miesiąc", jak chłopi wzdychali, przetrawiono by na wsi i Skierskiego. Cóż to znaczy? Że zapóźnienie, stwarzając próżnię, otwiera duże pole do ułożenia choćby dowolnego zespołu książek, jaki przy stałym „tłumaczeniu" (komentarz historyczno-socjologiczny), można wprowadzić do głów, przez jakie można ustalić w świadomości społecznej wsi nowy określony ideologicznie światopogląd i gust literacki. Raporty brygadzistów, ich spostrzeżenia i oceny wciąż wracają do tej właśnie sprawy: **koniecznych inwestycji kulturalnych** jako czynnika **decydującego o postępie na wsi**, inwestycji, które właśnie na bardzo zacofanych wsiach dokonać mogą największych przemian i dać w wyniku klasyczny model kultury Państwa Ludowego, wzorową, przodująca dynamikę społeczną dla nowego ustroju.

Na czym ta inwestycja ma polegać? Oczywiście na stworzeniu nowych instytucji. W pierwszym rzędzie **instruktoriatu rolniczego, czytelniczego i młodzieżowego**. Zarysowują się w naszej wyobraźni budynki, narzędzia, materiały, subwencje. Prawda. Ale mogłoby ich nawet nie być. Nie od nich zaczyna się sprawa. Nawet szkoła, kiedy jest (i to 7-klasowa) i nauczyciel należą w doświadczeniu wsi do tradycji, a właśnie tradycję odczuwają jako spętanie.

Marzą o zmianach, o nowych formach organizacji życia wsi, o nowych instytucjach i nie mogą przez tradycję z jej kręgu się wydobyć. Poruszyć by ich mogli nowi ludzie, jak ci chłopcy — brygadziści wolni od tradycji, tzn. **już uzbrojeni w umiejętności tworzenia nowych instytucji i nowej organizacji.** Chłopi chcą się oddać instruktorowi rolnemu, młodzieżowemu, oświatowemu. Niechby ich prowadzili, ale **najpierw muszą zaistnieć ci przodownicy.**

Inwestycja kulturowa do nich się w tej chwili sprowadza.

I jest rzeczą uderzającą, że przodownikami **mogą być już w opinii wsi młodzi.** Brygadziści nie tylko mieli mir u młodzieży. W wielu wsiach Wiciarze żalili się, że od trzech lat nikt ich nie odwiedzał, nie instruował. Brygadziści ich ożywili i podciągnęli stylem i zakresem swych występów. W wielu wsiach powołali do życia nowe koła „Wici". Ale również starsze pokolenie, mimo, że nie są żadną władzą, widzi w nich **naturalnych przywódców** i złożyło w ich ręce wiele gromadzkich spraw, jak w ręce dostojników powiatowych. Kapitalne, bo PRR-owcy, SL-owcy, sołtysi radni, nauczyciele obłożyli ich zadaniami do rozwiązania tam, w „górze". Oni przyśpieszą zelektryfikowanie wsi (na które od dwóch lat płacą, a „elekstryki" nie ma), zatwierdzenie szkoły, otrzymanie subwencji na postawienie szkoły, dla której chłopi odkupili plac, część budulca i dają robociznę, oni pomogą kupić drzewa na most, zboża do wymiany, nawozów, maszyn, dostać subwencje na uruchomienie wapiennika, znaleźć instruktorów rolnych, nauczycieli do trzech ośrodków i szkół rolniczych, oni ściągną kina objazdowe, oni wybiorą w „Czytelniku" biblioteczkę 50 książek (na początek), oni napiszą do jakich szkół zawodowych wysłać dzieci itd.

Trzeba pamiętać, że pokolenie starsze, które liczy dziś 50—60 lat w r. 1920 miało 20—30 lat, a w r. 1930 — 30—40 lat, a w tym okresie rozgrywała się najgorętsza batalia Wiciarzy o prawa przodownicze dla młodzieży na wsi, najsilniejszy był ruch emancypacyjny młodego pokolenia. Historia nie ma potrzeby wracać do powtórnego reprodukowania swych zdobyczy z przeszłości. Dziś jest już taka sytuacja, że starsze pokolenie posłuchałoby młodzików pod jednym warunkiem: udowodnienia przez nich przodowniczej sprawności socjo-technicznej i fachowości w określonym zakresie. W każdym spotkaniu brygadziści zyskiwali to uznanie. Zyskiwali dlatego równocześnie zaufanie. Budzili ze skrytych dusz głośne marzenia, z kolei nadzieje na zrealizowanie wielu zawieszonych spraw. Zrealizować je mogli oni — ich też obarczono niemałą listą. Brygadziści wyraźnie podkreślają tę nową, pełną możliwości sytuację: „wszędzie, gdzie działają instruktorzy i samorząd, tam wieś jest postępowa i dobrze się urządza". Chłopi w dyskusjach mówili niemniej wyraźnie „młodzież powinna pomału budować swoimi siłami lepszą wieś i to byłoby współzawodnictwo". Powiedziane to zostało z okazji współzawodnictwa z klasą robotniczą. Pytali brygadzistów, czego uczą w UL-u? Bo oni wyglądają na bardzo obrotnych, skoro i w polityce mają wyrozumienie. W 15-tu wsiach powzięto decyzję wysłania młodych do Pawłowic (a w wielu poraz pierwszy dopiero dowiedzieli się chłopi, co to Uniwersytet Ludowy).

Obracają się oczy starszego pokolenia i ku takim przeszkoleniem, które by młodych nie zabrały ze wsi potem, ale wróciły i już nie tylko na gospodarstwo, ale na szerszą akcję w gromadzie.

Dlatego raz jeszcze przypominam: inwestycje kulturowe muszą być dziś skierowane na wytworzenie przodowników. Im chłopi zaufają, oni pobudzą wieś do inicjatywy, do skalkulowanych świadczeń.

W ich cieniu możemy spokojniej wyobrazić sobie budynki, wyposażenia techniczne instytucji i subwencje. Jeśli nie w całości, to w części potrafią je zgromadzić z lokalnych, społecznych ofiar.

INWESTOWANIE KULTURY

Krytyka i ocena brygadzistów jest bezinteresowna a wnikliwa i stanowcza. Oglądają wsie „starościńskimi prawie oczami". W ich opisach jest skala. W tej wsi droga i most — konieczne. Bez nich zahamowana komunikacja gospodarcza (powrót do gospodarki naturalnej, nie inwestowanie gospodarstwa), zahamowana komunikacja kulturalna (gazety, książki), trzyoddziałówka zamyka edukację, a w innej wsi chłopi z trzyoddziałówki robią sami siedmio. O innej wsi, gdzie chłopi palą się do kina (filmy o uprawie zbóż, ziemniaków, buraków cukrowych), zabiegają o wymianę nasion bo „się wyradza uprawa" — piszą, podsumowując — trzeba jej udzielić pomocy bo „więcej wyda wysiłku i wyprodukuje zboża". Tak mógłby opiniować starosta.

Jeszcze o innej: jest młyn i szkoła i nawet to towarzystwo dobrze z sobą popija, ale wieś ma niewielki pożytek, szkoła nie gra tu poważnej roli, chłopi sami tworzą nową rzeczywistość i dlatego musimy im dopomóc. Należałoby zmienić kierownika szkoły, a temu hyclowi młyn odebrać na spółdzielnię przemiałową i tak spółdzielnię tutejszą osaczają 3 sklepy prywatne, a już się wyszarpnęła na 50.000 zł na chodniki.

Jeszcze jedna ocena: nie ma tu żadnej partii, jest kościół. Mimo to chłopi chcą nowej gospodarki. Żalą się, że z braku instruktora rolnego biedniejsi wzorują się (z konieczności) na bogatych. Kiedy jest błoto — jak mówią — przydałaby się droga i chodniki, a jak wyschnie to każdemu i zobojętnieje i tak wkoło Wojtek — koniecznie instruktora i koło młodzieży i koło „Czytelnika"! Nie ma sprawozdania, w którym nie zawierałaby się już w samym opisie krytyka braków, wydobycie danych na przemiany i plan pomocy.

Takimi nieodzownymi przodownikami są nasi brygadziści. Jakich wytworzyć, w ilości, która nada projektowanej inwestycji kulturalnej historyczne znaczenie? Mogą to zadanie wypełnić w części partie (na kursach odpowiednio długich i pogłębionych), spełnią w części szkoły zawodowe, w dużym stopniu „Służba Polsce", ale nie wolno zapomnieć o projekcie brygadzistów!

Cenią oni swoją akcję świąteczną dlatego, że ożywili 50 wsi, że postawili na nogi wiele kół, wytyczyli im zadania. Część spraw gromad załatwią u „góry" i ruszy robota społeczna na opuszczonych przez nich wsiach. Odwołują się do 150.000 młodzieży licealnej i studenckiej.

Objąć ona może pierścieniem wsie i miasteczka całej Polski. Wzbudzić inicjatywę społeczną w tysiącach osad, pomóc tam, gdzie kluje się, odryglować tam, gdzie zahamowana została przy jakiejś sprawie grubszego kalibru.

Brygadziści z Uniwersytetu Ludowego „apostołowali" podczas świąt ale dobrze wiedzą, że nie potrzebują tak, jak przed wojną ich poprzednicy, kierować się przykazaniem apostoła: „co boskie Bogu, co cesarskie cesarzowi".

Znaczyło to kiedyś, że apostołowie nie mają dostępu do porządku ustrojowego. Oni wiedzą, że dziś mają i dlatego przyjęli furę spraw do załatwienia w „górze".

Ich sprawozdania stanowią **bieżące akta socjologii praktycznej.** Opis, zestawienia, ocenę i wskazania, które może uwzględnić i na które winna oczekiwać planowa gospodarka Polski Ludowej. A i chłopi w nowatorstwie brygadzistów widzą to samo, ich przydatność na wsi i ich zaplecze w całej Polsce, w jej nowym ustroju. Brygadziści wnoszą do wsi **nową polskość,** na miejsce **tradycyjnej, etnicznej i parafialnej,** polskość — **ideologiczną.** W tych latach czas jest dla nas drogi. Nim przez kursy i odpowiednie szkoły wyprodukujemy dostateczną ilość podstawowych przodowników wsi, każde ożywienie tych, co są na miejscu, a w opuszczeniu, za lasami i bagnami, każde ich wzbogacenie w wiedzę, każde usprawnienie w najwęższej choćby dziedzinie, każde powiązanie się z nimi w spotkaniu będzie wzmacniało świadomość nowych czasów, nowych możliwości i jedności społecznej narodu. A 150.000 młodzieży w takich trzyokresowych akcjach rocznych nie tylko przyda się społecznie, ale społecznie dojrzeje i utrwali w sobie świadomość nowej roli inteligencji, jej organicznego związku z wielką przestrzenią społeczną Polski, która jest i czeka za rogatkami wielkich miast.

Jan Aleksander Król

Głosy o „Oświęcimiu“

Jakub Litwin

Pierwszy czy „Ostatni etap“

KURSUJE o „Ostatnim etapie“ opinia — głoszona przeważnie przez byłych więźniów Oświęcimia — że film skrzywia rzeczywisty obraz życia obozowego. Niewątpliwie. Ale należy zapytać, czy można — czy jakikolwiek człowiek jest w stanie oddać prawdę Oświęcimia. Trzeba stwierdzić, jasno, że relacje i opowiadania — nie mówią wszystkiego. Nawet ci. którzy przeżyli piekło obozowe nie umieją ocenić obozu z punktu widzenia jego — jemu tylko właściwych — norm moralnych. Przemilczają — świadomie lub bezwiednie ten element samoponiżenia i pogardy człowieka — bezgraniczny antyhumanizm, tak właściwy życiu obozowemu. Obozem kierowały bowiem normy moralne, tak różne od stosowanych w społeczeństwie kulturalnym, że trudno je często opisać. A one były elementem dominującym życia obozowego.

Co mówi o nich film? Niewiele. Ludzie „Ostatniego etapu“ myślą i działają w myśl zasad społeczeństwa kulturalnego. Nieprawda, że takich ludzi nie było. Ale nie byli czymś typowym w schemacie obozowym. Stanowili nieznaczną mniejszość. Większość zapewne więźniów nie znała albo — co gorsza — nie rozumiała ich ludzkich cech charakteru. Ale byli. I to jest ważne.

Na obóz oświęcimski można patrzeć z dwóch punktów widzenia — z wewnątrz i od zewnątrz. Spojrzenie od wewnątrz pokaże system społeczny oparty na zasadach tak różnych od potocznie przyjętych w społeczeństwie — że nie dla wszystkich zrozumiały. A przy tym nie pokaże wszystkich stron życia. Spojrzenie zaś z zewnątrz, z pewnej oddali, zintelektualizowane, pozwala również dostrzec ową ludzką stronę życia obozowego. Być może zaciera nieco proporcje pomiędzy codziennym — powiedzmy podłym — schematem życia obozowego, a jego elementami bohaterskimi — ale pokazuje właśnie to, co ma największą wartość dla żyjących — człowieka opierającego się pokusie odczłowieczenia. I obraz taki nie jest kłamstwem. Jest prawdą walki nie o biologiczne życie — ale o człowieka społecznego. A w obozie toczyła się walka na dwóch frontach.

Niechaj sobie byli więźniowie obozów przypomną, jak trudny, mozolny i długotrwały był okres moralnej rekonwersji. Jak trudno było się włączyć w nurt życia społecznego, w prace, zadania i cele, jakie stawia przed człowiekiem społeczeństwo. To był poobozowy okres walki o człowieka — którą wielu toczyło jeszcze w okresie obozu.

Film ten właśnie problem obrazuje. I przedstawia go z rzetelną uczciwością.

Trzeba by również zapytać, czy film winien ów problem walki o człowieka zmniejszyć do proporcji obozowych. Ale wówczas byłby to płaski, mały realizm — albo dostojewszczyzna.

Za wielką zasługę Jakubowskiej należy bez wątpienia uznać, że umiała, jak Gorkij powiedzieć: „Człowiek — to brzmi dumnie“. „Ostatni etap“ — to film o walce człowieka — o swoje człowieczeństwo. Walka nabiera tu cech wielkości przez kontrast do nędzy życia obozowego. Śmiem powiedzieć, że „Ostatni etap“ jest filmem nie tylko o Oświęcimiu — jest to film o ludziach rzuconych przez los na najniższe dno życia. Tylko, że los nie jest tu fatalistyczną, metafizyczną koniecznością, wobec której ludzka wola jest tylko biernym przedmiotem — ale jest to konkretna sytuacja życiowa zbudowana przez pewnych ludzi — hitlerowców, którą inni ludzie — więźniowie i patrioci — chcą i muszą zniszczyć.

Czy przedstawienie obrazu walki z upadlającym systemem — nie jest realizmem wyższego rzędu — bo realizmem rewolucyjnym? Realizm mały tak się ma do rewolucyjnego, jak rysunek anatomiczny ciała ludzkiego do obrazu artystycznego i żywego, choć może skrótowego.

Film Jakubowskiej przeciwstawiłbym naszej powojennej literaturze — która nie umie zrzucić z siebie kurzu małych faktów i małych kontrastów. I plus zapisałbym niewątpliwie Jakubowskiej.

Filmowi dano tytuł „Ostatni etap“. Przypuszczam jednak, że jest to obraz pierwszego etapu walki człowieka o swoje ludzkie prawa. Film winien być pierwszym etapem sztuki obrazującej dalszy ciąg walki ludzi ujarzmionych przeciw ujarzmicielom.



Apel
Scena z filmu „Ostatni etap“
Fot. „Film Polski“

Leonard Sobierajski

Dwie obrony

KRYSTYNA Żywulska, autorka książki „Przeżyłam Oświęcim“, która pierwsza zabrała głos w dyskusji nad filmem „Ostatni etap“, pisze: „Po wyzwoleniu zastanawialiśmy się rzeczowo, co należałoby pokazać w ramach dwugodzinnego filmu... Co należy pokazać ludziom „niewiedzącym“ **i co jest „najważniejsze“?** Czy najrozmaitsze sposoby torturowania, znęcania się i bicia, czy upokorzenia, deptanie godności ludzkiej, czy głód, doprowadzający do ludożerstwa, czy komory gazowe, czy stosy trupów pod barakami, czy dławiona, nieustająca tęsknota czy wreszcie — walka... **Jakubowska wybrała walkę, jako temat filmu o obozie. Walkę i bunt przeciwko rzeczywistości obozowej. Wybrała najsłuszniej“.**

Istotnie, koncepcja filmu o obozie koncentracyjnym, tak jak ją postawiła autorka scenariusza i reżyserka „Ostatniego etapu“, nie budzi żadnych zastrzeżeń — jest słuszna tak w odniesieniu do widza, który na nowych zasadach odbudowuje dziś wiarę w człowieka, jak i w odniesieniu do tej masy więźniów, którzy dali świadectwo,- że nawet w tej sytuacji, w której system, zakładający pogardę człowieka, przybrał swą najokrutniejszą formę, można było prowadzić z nim walkę i zwyciężać.

W założeniu systemu obozów koncentracyjnych leżało: wyrwanie człowieka **z wrogich faszyzmowi struktur kulturowych** (poczynając od liberalizmu mieszczańskiego, kończąc na ustroju socjalistycznym), zepchnięcie go na pozycję istoty tylko biologicznej, by wreszcie w końcowym rezultacie tego procesu zniszczyć go i fizycznie.

Oto teraz zadanie dla reżyserki: pokazać bezbłędnie właściwy z dzisiejszego punktu widzenia system obrony. Zagadnienie jest bardzo skomplikowane, bo spójrzmy: niewątpliwie, protestem przeciwko nieludzkiej rzeczywistości obozowej było „pójście na druty“, czy wpędzał na nie strach przed głodem, czy obraz człowieka konającego w błocie, czy odraza narzucająca się mimowoli do ubabranego własnym kałem współwięźnia, czy pragnienie uchylenia się na tej drodze od maltretowania ze strony „capo“ czy blokowego, a może właśnie **chęć uprzedzenia dostrzeżonego w sobie rozkładu człowieka?** Są to motywy wewnętrzne działania i jest ich obiektywny rezultat: — rezygnacja z życia jako protest przeciwko systemowi, a równocześnie zachowanie się, postulowane przez tenże system — unicestwienie się, samowykreślenie z listy wrogów porządku hitlerowskiego. Faktem jest, że na druty szli masowo żydzi belgijscy i holenderscy, ale nie dlatego, że reprezentowali określony naród, ale że byli członkami bogatej inteligencji mieszczańskiej, żyjącej w strukturze liberalizmu; faktem jest również, że nie było wypadku pójścia na druty wśród więźniów, rekrutujących się z żołnierzy Armii Radzieckiej czy partyzantki Titowej.

Ocena faktu „pójścia na druty“ będzie tak długo sporna, dopóki nie przeprowadzimy jej z punktu widzenia określonych systemów. Moralność, jaką wypracował system liberalistyczny, dozwalała człowiekowi swobodnie rozporządzać własną osobą; w tym systemie moralnym, stworzonym przez mieszczaństwo kapitalistyczne, bankrut nie mogący wywiązać się ze swych zobowiązań mógł wyjść z tej sytuacji z honorem, kończąc z własnym życiem. Inaczej na dobrowolną rezygnację z życia spojrzy człowiek, ujmujący jednostkę ludzką zawsze w **kontekście społecznym.** Więzień, posługujący się systemem ocen, ujmujących człowieka w jego funkcji społecznej, mimo, że będzie wyrwany z dawniejszej przedobozowej grupy, nigdy nie przestanie odczuwać więzi łączącej go z tą grupą—przeciwnie w nowej sytuacji będzie jeszcze bardziej wzmacniał w sobie świadomość, że jest członkiem narodu, który pozostaje w walce z faszyzmem, jeśli był członkiem walczącej armii czy ruchu oporu; nie zapomni on o tym, że w życiu przedobozowym reprezentował cenne dla swojej grupy wartości, będzie on stał na stanowisku, że te wartości są nadal własnością grupy, z której wróg go wyrwał.

Trzymanie się tego systemu stwarzało dla więźnia najmocniejsze bodźce do przetrwania, trzymanie się tego systemu kazało mu w nowych obozowych warunkach wypracować takie normy postępowania, które by całej grupie obozowej zapewniały jak najdalej idącą możliwość obrony.

Ten nowy kodeks pozwalał na znoszenie upokorzeń. Inna rzecz, że nie zawsze występował on w czystej postaci, jego wyznawców obciążały często i tradycje indywidualistycznej (systemu liberalnego) moralności, gdzie pojęcie honoru, godności ludzkiej, przekazywane nam z feudalnymi tradycjami europejskimi, narzucały się więźniowi z nieodpartą siłą. Życie obozowe dostarczyło wielu przykładów załamywania się „systemu obronnego“, zdeterminowanego postawą społeczną przez atakujące często człowieka obozu normy personalistycznego odczuwania i reagowania. Wtedy dochodziło do katastrofy. Dwa takie momenty pokazuje nam film. Mam tu na myśli epizod z Eugenią w trakcie inspekcji obozu przez komisję „międzynarodową“ i epizod z partyzantką Dessą na rannym apelu z Lagerführerem. O ile w wypadku Eugenii można by jeszcze dyskutować, czy jej głośny protest przeciwko kłamstwu był buntem spontanicznym, czy świadomą akcją, podjętą w interesie całego obozu, o tyle w wypadku Dessy należy stwierdzić wyraźne załamanie się społecznego systemu obrony na rzecz systemu personalistycznego. Dessa, więzień obozu koncentracyjnego, odmawia wykonania upakarzającego rozkazu, odmawia jako człowiek, który był oficerem partyzanckim; ginie wypełniając tradycyjny schemat: „Raczej śmierć, niż upokorzenie“.

Eugenia i Dessa należą do najwartościowszych jednostek grupy obozowej, spełniają ważną rolę, ich śmierć zmniejsza poważnie zdolność obronną grupy; równocześnie Związek Radziecki traci wybitną prawdopodobnie lekarkę, Jugosławia przyszłą organizatorkę „Omladiny Titowej“; rachunek wyraźnie układa się na korzyść „panów obozu“.

Rzecz prosta, że nie robię tu zarzutu reżyserce filmu, że Dessa wybrała śmierć, zgłaszam tylko wątpliwość, czy należy epizod ten traktować jako moment zwycięski w walce obozu, czy raczej jako moment klęski, wynikającej z pomieszania dwóch wspomnianych systemów.

Bo widz może odnieść wrażenie, że zachowanie się Eugenii czy Dessy ma być typowe dla grupy, którą one reprezentują. A przecież sprawa wygląda inaczej. Grupa Dessy i Eugenii stanowi w zróżniczkowanej społeczności obozowej ośrodek mobilizujący więźniów do walki z faszystowskim systemem niszczenia człowieka. Zdobywa ona wewnętrzną siłę właśnie dlatego, że w postępowaniu swoim kieruje się normami moralności komunistycznej, która pozwala na wypracowanie przez grupę obozową warunków moralnych do przetrwania. Stąd zupełnie nieuzasadnione w linii ideologicznej filmu było pokazanie Eugenii, a zwłaszcza Dessy, w wymienionych epizodach, jako ludzi reagujących według norm drugiego skrzydła więźniów, tych z kultury liberalno-mieszczańskiej, inteligencko-klerkowskiej, narodowo-drobnomieszczańskiej i religijno-opatrznościowej.

Julian Rogowski

O literaturze obozowej

Film „Ostatni Etap“ pobudza do przypomnienia i rozważenia raz jeszcze polskiej literatury obozowej. Stanowi ona objętościowo dużą pozycję wśród wydanych po wojnie książek. Poczytność jej wprawdzie osłabła po pierwszym okresie zainteresowania, niemniej literatura ta rolę swoją wobec tego społecznego zainteresowania — spełniła. Zapisała jakoś w pierwszym rzucie treść zbiorowych doznań wojennych wielkich grup ludności cywilnej ujętych w tryb faszystowskiego systemu zniszczenia.

Klasyfikując książki dokumentarne o obozach, możemy wyróżnić trzy odrębne typy zróżnicowane ideologicznie, w zależności od reprezentowanego na terenie dzieła światopoglądu. Pierwszym z nich okazałaby się metafizyka katolicka, drugim mieszczański liberalizm, trzecim zaś tendencje zbliżone do socjalizmu. Uzasadnimy ten podział na przykładach reprezentatywnych.

Zacznijmy od książki najbardziej może osławionej, a to na skutek ataku T. Borowskiego, od „W otchłani“ Zofii Kossak-Szczuckiej. Zaiste, trudno o dzieło bardziej kompromitujące katolicką filozofię niż ta krótka praca, szukająca w obozie sensu wręcz mesjanicznego. Śmierć zostaje tu rozpatrzona jako mistyczna ofiara odkupienia, jako „dopust boży“. Z obozu czyni się tu Oberammergau, jakieś potworne widowisko pasyjne mające z niewiadomych przyczyn wpłynąć na odkupienie świata. Zagadnienie obozu nie jest już uwarunkowane czynnikami społecznymi (faszyzm), lecz wolą bożą. Zjawisko nabiera charakteru nadludzkiego i metafizycznego. Po prostu jakaś zapowiedź Apokalipsy.

Rozsądniej mówi o obozie Rusinek. Reprezentuje on ten typ liberalnego humanizmu, który w Niemczech panował przed rokiem 1938, który zyskiwał taką popularność w powieściach Remarque'a. Obóz dla tych ludzi był ciosem najcięższym, był poniżeniem ich podstawowego mitu — godności ludzkiej. To, o co walczyła liberalna demokracja XIX wieku, zostało tu w brutalny sposób obalone i zniszczone. Żołnierz, nad którym rozczulano się po pierwszej wojnie światowej, znajdował się w pozycji daleko szczęśliwszej niż więzień obozu koncentracyjnego. Wiara w naukę, jakiej dostarczyła pierwsza wojna światowa prysła, został bezradny humanitaryzm, przerażony rozkładem moralnym, nagłym odrzuceniem tych wszystkich wartości, na których opierało się życie mieszczan przed wojną. Ze sprawy szczególnie bolesnej dla inteligencji uczynił Rusinek zagadnienie poza-społeczne. W obozie istnieje tym razem nie grupa socjalna, a grupa ludzi. Chodzi mu tu o człowieka bezprzymiotnikowego, o ten zespół wartości duchowych, jakie człowiekowi i tylko człowiekowi mogą być właściwe.

Najbardziej zbliżony do prawdy obraz obozu udało się skonstruować jedynie Szmaglewskiej. Ona to odniosła ów niezrozumiały dla wielu koszmar do pewnego zespołu czynników historyczno-społecznych, które spowodowały zaistnienie obozu.

Czymże właściwie był Oświęcim? Miejscem, w którym „wychowywano“ ludzi, wielką szkołą poprawczą dla przeciwników faszyzmu. Chodziło nie tylko eksterminację biologiczną, ale i o eksterminację kulturalną, o przygotowanie gruntu do przyszłego systemu rządów faszystowskich. To nie była tylko sprawa odkupienia i pohańbienia człowieka, to był zakład karny, zakład „wychowujący“ ludzi dorosłych oparty na konieczności likwidacji wszystkich tych konwencji, jakie w środowiskach mieszczańskich, robotniczych czy chłopskich grozić mogły systemowi.
ry właśnie wtedy ugruntowywali Niemcy.

Film „Ostatni Etap“ pokazuje raz jeszcze ten sam obóz, jaki znamy z literatury — w aspekcie dojrzałym ideowo, świadomie postępowym.

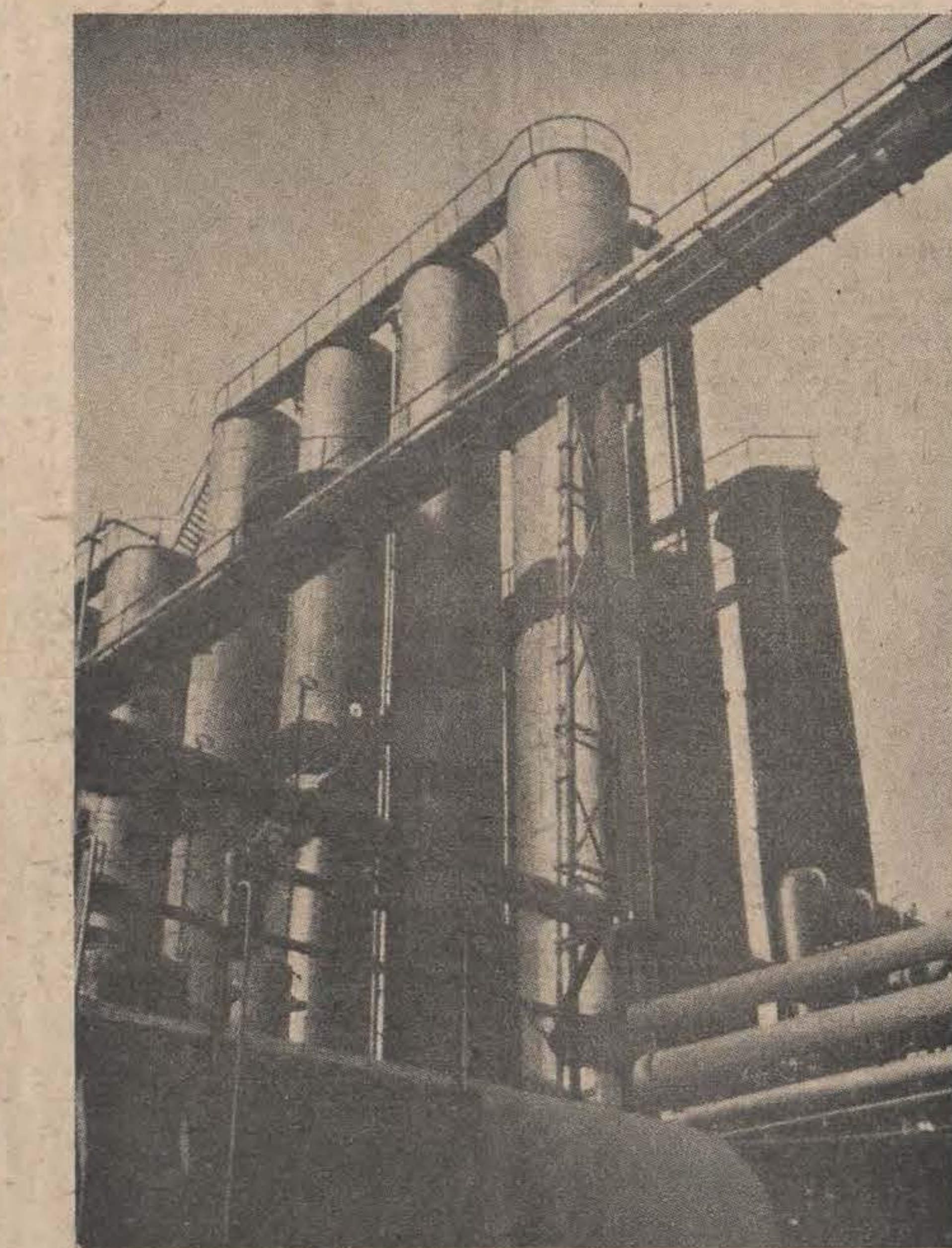
Film wyprzedził dokumentarną literaturę obozową.



Kołysanka
Zinowij Tołkaczew



Kwiaty Oświęcimia
Zinowij Tołkaczew



Płuczka benzolowa koksowni Waleniy Wawel (Ruda Śląska, Górny Śląsk)

Stanisław Cieślak

O CZECHOSŁOWACJI, O NAS I OPTYMIZMIE

1. DWULETNI PLAN GOSPODARCZY CZECHOSŁOWACJI (1947—1948)

Rozwijająca się coraz pomyślniej współpraca gospodarcza Polski z Czechosłowacją posiada dla rozwoju naszego gospodarstwa narodowego olbrzymie znaczenie. Czechosłowacja bowiem należy do najbardziej uprzemysłowionych krajów w Europie, posiada dobrze rozbudowany ciężki przemysł: dlatego jest w stanie eksportować nie tylko wyroby gotowe przemysłu lekkiego ale również maszyny, środki transportu i t. p. artykuły inwestycyjne, których tak potrzebuje Polska w okresie odbudowy i rozbudowy przemysłu. Przykładowo, aby zdać sobie sprawę z możliwości eksportowych ciężkiego przemysłu czeskiego wymienić można dane dotyczące wywozu z Czechosłowacji w pierwszych trzech kwartałach roku 1947. W tym czasie wywiozła Czechosłowacja — żelaza i artykułów żelaznych za 3066 miljonów koron czeskich, maszyn, narzędzi i części zamiennych do maszyn za 1400 miljonów koron, samochodów za 1088 miljonów koron, maszyn elektrycznych za 621 miljonów koron, artykułów chemicznych za 377 miljonów koron (100 koron odpowiada 2 dolarom lub 800 złotym).

Jako kraj wysoce uprzemysłowiony Czechosłowacja z drugiej strony o wiele więcej potrzebuje węgla, niż jest go w stanie sama wyprodukować. Tego węgla jesteśmy w stanie jej dostarczyć.

Również bardzo korzystnie układa się możliwość współpracy z Czechosłowacją w zakresie transportu.

Większość importu i eksportu Czechosłowacji kieruje się do krajów zamorskich lub nadmorskich (Stany Zjednoczone, Szwecja, Wielka Brytania, Holandia, Belgia i t. d.), Czechosłowacja więc nie posiadając własnego dostępu do morza korzystać musi z obcych portów. Przed wojną cały tranzyt czeski kierowano Łabą do Hamburga. Dziś nie stoi nic na przeszkodzie, aby cały handel zamorski Czechosłowacji skierować przez polskie porty ze Szczecinem na czele. Pełne wykorzystanie Odry, jako drogi wodnej, wymaga ściślej współpracy z Czechosłowacją. Nie wystarczy bowiem dla ożywienia Odry sam tylko transport węgla wdół do Szczecina z Zagłębia Węglowego, barki bowiem rzeczne powracające ze Szczecina po węgiel, winny również zabierać ładunek w górę rzeki, bo tylko przy dwukrotnym obciążeniu transport Odrą wytrzymuje kalkulację. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że samej tylko rudy szwedzkiej sprowadziła Czechosłowacja w trzech kwartałach 1947 r. — 1317 tysięcy ton, to stanie się jasne, że skierowanie również importu czeskiego Odrą ze Szczecina do Koźla posiada dla ożywienia ruchu towarowego na Odrze podstawowe znaczenie.

Zamierzona budowa kanału Odra—Dunaj, łączącego Bałtyk z Morzem Czarnym, na którą Czesi i Polacy przeznaczyli już w r. 1948 poważne sumy w planach inwestycyjnych na studia i pomiary przygotowawcze, niewątpliwie wpłynie w wysokim stopniu na ożywienie tranzytu czeskiego przez Polskę.

Tego typu spraw wiążących gospodarkę czeską i polską jak problem inwestycji czy tranzytu można wymienić o wiele więcej. Wszystkie one przemawiają za rozszerzeniem współpracy gospodarczej obu krajów.

Jeśli do tego dodamy fakt, że obie te demokracje ludowe posiadają zbieżne interesy polityczne, polegające z jednej strony na ścisłym sojuszu ze Związkiem Radzieckim, a z drugiej na jednakowej postawie wobec Niemiec, co znalazło tak dobitny wyraz w naradzie styczniowej trzech ministrów spraw zagranicznych Polski, Czechosłowacji i Jugosławji w Pradze Czeskiej, to stwierdzić musimy, że współpraca gospodarcza polsko-czeska posiada mocny fundament polityczny.

Wspólna granica polsko-czeska na przestrzeni 1346 km stanowi również wielką zachętę do rozwinięcia bliższej współpracy, której brak przed rokiem 1939, tak bardzo ułatwił rozwój imperializmu niemieckiego i pozwolił Niemcom na podbój po kolei skłóconych ze sobą tych dwóch krajów słowiańskich.

2. WYKORZYSTANIE CZESKICH DOSWIADCZEŃ

Nasze zainteresowanie się Czechosłowacją płynie i z jeszcze jednego źródła. Pod względem uprzemysłowienia kraju i struktury zawodowej ludności Czechosłowacja znacznie wyprzedziła Polskę. Ogólnie formułując powiedzieć można, że wyprzedziła nas o lat conajmniej kilkanaście i znajduje się na tym etapie rozwoju, który Polska osiągnie dopiero po kilku planach gospodarczych. Już bowiem w r. 1930 (data ostatniego powszechnego spisu ludności w Czechosłowacji) struktura zawodowa ludności Czechosłowacji przedstawiała się w porównaniu z Polską, jak następuje:

Zatrudnieni w % ogółu ludności:

	Czechy	Słowacja	Czechosłowacja (razem)	Polska	Polska
	1930	1930	1930	1931	1947
rolnictwo	24	53	35	61	55
przemysł	41	20	35	19	22
inne zawody	35	27	30	20	23

Nie trzeba dodawać, że od r. 1930 tempo urbanizacji było w Czechach o wiele szybsze niż w Polsce i dlatego wzrost liczby zatrudnionych w przemyśle kosztem zatrudnionych w rolnictwie przebiegał tam o wiele szybciej niż w Polsce.

Dla tych niewielu już na szczęście niedowiarków, którzy wątpią w podstawową tezę naszej polityki gospodarczej, że nie ma dobrobytu bez rozwoju przemysłu, bez przesunięcia poważnej części ludności rolniczej do zawodów nierolniczych — przykład Czechosłowacji jest argumentem nie do odparcia. Ten bowiem kraj, w którym dziś nie więcej niż 1/4 ludności zajmuje się rolnictwem posiada nie tylko samowystarczalność żywnościową i to na poziomie życia o wiele wyższym niż w Polsce, ale nadwyżki eksportowe artykułów rolniczych.

Dlatego na przykładzie Czechosłowacji powinniśmy śledzić etapy likwidacji przeludnienia wsi i z ich doświadczeń wysnuwać wnioski dla nas, tym bardziej, że Czesi zabrali się w latach 1947 i 1948 bardzo energicznie do uprzemysłowienia i zmiany struktury zawodowej w najmniej uprzemysłowionej swej części a mianowicie w Słowacji. Z liczb planu gospodarczego dwuletniego wynika, że na inwestycje przemysłowe, komunikacyjne i energetyczne w Słowacji rząd czeski zamierza wydać w latach 1947 i 1948 — 32% ogółu sum inwestycyjnych czyli 22.140 milionów koron czeskich (czyli około 180 miliardów złotych). Jeśli sobie przypomnimy, że Słowacja przy powierzchni 49 tys km kw. liczy 3 i pół miljona ludności, to wysiłek czeski wyda nam się imponujący i w naszych warunkach godny zazdrości i naśladowania.

3. OGÓLNE ZAŁOŻENIE PLANU CZESKIEGO

Ustawa o czechosłowackim planie dwuletnim z dnia 25. 10. 1946 r. tak precyzuje podstawowe zadanie planu:

a) „w przemyśle przekroczyć z końcem roku 1948 ogólny poziom produkcji z roku 1937 o 10%;

b) w rolnictwie dosięgnąć pod koniec roku 1948 poziomu produkcji przedwojennej;

c) w budownictwie zaopatrzyć w potrzebną liczbę mieszkań, wykonać wielkie budowy dla przemysłu i rolnictwa, odnowić i uzupełnić komunikację publiczną oraz urządzenia dla celów zdrowotnych, wykonać i ulepszyć budowle wodno-gospodarcze oraz urządzenia kanalizacyjne, jako też wykonać naglące budowle samorządowe;

d) w komunikacji ogólnej dopiąć wydajności z roku 1937;

e) przyczynić się do przyśpieszenia zrównania poziomu gospodarczego Słowaczyzny i krajów czeskich, zwłaszcza przez doskonalsze wykorzystanie zasobów surowcowych i energetycznych jako też sił pracowniczych oraz przez wytworzenie możliwości pracy na Słowaczyźnie;

f) podnieść słabe pod względem gospodarczym okręgi w krajach czeskich. W wykonaniu tych podstawowych zadań podniesiona zostanie odpowiednio produkcja dóbr konsumcyjnych" (art. 1 ustawy).

Jakie konkretne zadania stawia przed gospodarstwem Czechosłowacji dwuletni plan gospodarczy? Wyjaśniają to zawarte w ustawie cyfry kontrolne planu na koniec r. 1948. Dla porównania podajemy obok cyfry kontrolne polskiego planu na koniec r. 1948. Przy tym należy pamiętać o różnicy w powierzchni i zaludnieniu obu tych krajów:

	Powierzchnia w tys. km²	Ludność w tys. osób	Osób na 1 km²
Polska	312,9	23.622	75
Czechosłowacja	127,8	12.242	109

Oto najbardziej charakterystyczne liczby:

	Czechosłowacja 1948	Polska 1948
W produkcji górniczej:		
węgiel kamienny	17.746 tys. ton	67.500 tys. ton
węgiel brunatny	23.900 tys. ton	3.959 tys. ton
koks	3.910 tys. ton	3.250 tys. ton
ruda żelazna	1.737 tys. ton	700 tys. ton
ropa naftowa	82 tys. ton	155 tys. ton
W energii:		
prąd elektryczny	7.400 milion. KWh	7.400 milion KWh
gaz świetlny	420 milion. m³	291 milion. m³
W hutnictwie:		
surówka żelazna	14.600 tys. ton	1.200 tys. ton
stal	2.400 tys. ton	1.750 tys. ton
odlewy	330 tys. ton	33 tys. ton
wyroby walcowane	1.650 tys. ton	1.125 tys. ton
W przemyśle metalowym:		
wagony kolejowe	15.240 sztuk	15.000 sztuk
traktory	9.000 sztuk	400 sztuk
maszyny rolnicze wartości	20 milion. dol.	10 milion. dol.
W nawozach sztucznych:		
nawozy azotowe	220 tys. ton	406 tys. ton
fosforowe	380 tys. ton	400 tys. ton
W przemyśle żywnościowym:		
cukier	672 tys. ton	521 tys. ton
masło	50 tys. ton	b. d.
sztuczne tłuszcze jadalne	70 tys. ton	b. d
W rolnictwie zamierza się osiągnąć produkcję:		
pszenicy	1.485 tys. ton	1.408 tys. ton
żyta i mieszanki	1.187 tys. ton	1.860 tys. ton
jęczmienia	1.123 tys. ton	1.209 tys. ton
ziemniaków	8.782 tys. ton	27.140 tys. ton
buraków cukrowych	4.719 tys. ton	3.850 tys. ton
mięsa wołowego	160 tys. ton	74 tys. ton
mięsa wieprzowego	266 tys. ton	592 tys. ton
mleka	32.559 tys. hl	46.000 tys. hl
jaj	1.172 mil. sztuk	2.560 mil. sztuk

Tak wyglądają przykładowo wybrane z ustawy liczby kontrolne obu państw.

4. PLAN INWESTYCYJNY

Podobnie jak w Polsce plan inwestycyjny Czechosłowacji na lata 1947 i 1948 stanowi część ogólnego planu gospodarczego. Wydatki na inwestycje stanowią (podobnie jak w Polsce) w każdym roku planu około 20% ogólnego dochodu społecznego, co świadczy o dużym stosunkowo wysiłku, jaki, oba społeczeństwa wkładają w odbudowę i rozbudowę swego gospodarstwa. Nie trzeba dodawać, że Polska jako kraj o wiele bardziej zniszczony przez wojnę niż Czechosłowacja zdobywa się w latach planu na wysiłek — wiele większy, niżby to wynikało z prostego zestawienia liczb procentowych.

Inwestycje dzielą się, w sposób następujący (w liczbach zaokrąglonych):

	Czechosłowacja 1947—1948 w mild. koron	Czechosłowacja 1947—1948 w %	Polska 1947—1948 w mild. zł	Polska 1947—1948 w %
przemysł	25	36	105	37
komunikacja	15	22	69	24
rolnictwo	5	7	35	12
budownictwo rob. mieszkańców	14	20	18	6
inne	10	15	59	21
Razem:	69	100	286	100

Z pobieżnego porównania (niezbyt niestety ścisłego, wskutek nieco innego podziału inwestycji i dodawania sum normalnych) widać, że w planach inwestycyjnych Polski o wiele większe procentowo sumy przeznaczone są zarówno na rolnictwo jak i na pozycje inne, w których mieści się przede wszystkim oświata, kultura, sztuka i zdrowie. Z ogólnej sumy inwestycji dwuletniego planu czechosłowackiego na Słowację przypada 22 miliardy koron (czyli przeszło 32 proc. ogólnej sumy planu) z tego na przemysł — 7 miliardów koron, na rolnictwo (a zwłaszcza na jego mechanizację) — 2 miliardy koron, na komunikację — 5 miliardów koron, na budowle ziemne, wodnogospodarcze, komunikacyjne i inne budowle publiczne 4 miliardy koron. W ramach tych inwestycji przewiduje się przeniesienie na Słowację, z pogranicza niemieckiego pewnej ilości zakładów przemysłowych i rzemieślniczych, które dadzą zatrudnienie w Słowacji conajmniej 26 tys. robotników.

Na inne okręgi Czechosłowacji gospodarczo słabsze (Czechy południowe, okręg nad Brdą, Wyżyna Czesko-Morawska itd.) plan przeznacza około 5 miliardów koron.

W zakresie środków inwestycyjnych dla rolnictwa interesująco przedstawia się plan produkcji maszyn i narzędzi rolniczych. Na koniec 1948 r. przewiduje się osiągnięcie produkcji rocznej:

maszyn do uprawy i przygotowania ziemi — 80.000 sztuk, maszyn do zasiewów i sadzenia — 10.000 sztuk, maszyn do obróbki zasiewów — 8.000 sztuk, żniwiarek — 24.000 sztuk, maszyn do przygotowywania pokarmów dla zwierząt — 48.000 sztuk, traktorów — 9.000 sztuk.

5. TRUDNOSCI WYKONANIA

Dwuletni plan postawił przed gospodarką Czechosłowacji niełatwe zadania. Osiągnięcie liczb kontrolnych na rok 1948 oznacza w porównaniu do roku 1945 skok w węglu o 50 proc., w żelazie surowym o 300 proc., w produkcji wagonów o 50 proc., obrabiarek o 75 proc., w mięsie wołowym o 38 proc., wieprzowym o 100 proc., w mleku o 75 proc. itd. Są to zadania niełatwe dla Czechosłowacji, a to z wielu względów: 1) braku sił roboczych, 2) niepełnej nacjonalizacji przemysłu, 3) katastrofalnej suszy w r. 1947, 4) trudności eksportowo-importowych. O każdym z nich słów kilka.

1) Brak sił roboczych to pięta achillesowa gospodarki czeskiej. Wysiedlenie ok. 3 milionów Niemców zamieszkujących zwartą masą ziemię pogranicza Czech i Moraw z silnie rozwiniętym przemysłem postawiło przemysł czeski wobec straty ok. 250 tys. wykwalifikowanych sił roboczych. Z tego 180 tys. zdołano uzyskać przez mobilizację rezerw z głębi kraju,

pozostaje jeszcze do zdobycia ok. 70 tys. wykwalifikowanych sił roboczych dla pełnego wykorzystania możliwości produkcyjnych tego przemysłu, który pozostanie na pograniczu. Poważna bowiem część przemysłu z pogranicza przeniesiona będzie w latach planu i później do Słowacji i innych gospodarczo zaniedbanych okręgów czeskich posiadających względną nadwyżkę sił roboczych. Ogółem na ziemiach poniemieckich osiedlono już ok. 2200 tys. Czechów, do osiedlenia do końca 1948 pozostaje jeszcze ok. 300 tys. osób. Ponieważ tempo mechanizacji rolnictwa czeskiego nie mogło być tak szybkie, jak pompowanie ze wsi rezerw roboczych do przemysłu wytworzył się i na odcinku rolniczym poważny brak rąk do pracy, pokryty w roku zeszłym sezonową emigracją robotników rolnych z Rumunii i Węgier w ilości kilkudziesięciu tysięcy osób. Dlatego też artykuł 9 ustawy o dwuletnim planie gospodarczym Czechosłowacji wprowadza narodową mobilizację sił roboczych:

„Dla wykonania zadań ustalonych w rozdziałach 1—5 (ustawy) poczynione zostaną zarządzenia celem włączenia i przeniesienia do przemysłu ok. 270 tys., do budownictwa ok 90 tys., do rolnictwa i leśnictwa ok. 230 tys. sił pracowniczych. Zarazem wytworzone zostaną warunki dla podniesienia wydajności pracujących przeciętnie o 10% w porównaniu z rokiem 1937".

2. Nacjonalizacja przemysłu w Czechosłowacji objęła tylko największe zakłady gdyż granica nacjonalizacji (wg. liczby zatrudnionych robotników) była o wiele wyższa niż w Polsce, i tak w przemyśle papierniczym 300 robotników, w tekstylnym 400, w metalurgii 500 robotników i t. p. W rezultacie w ręku państwa znalazła się prawie całość przemysłu ciężkiego (który z natury swojej nie może być przemysłem bardzo dochodowym!) natomiast stopień nacjonalizacji w przemysłach lekkich, bardziej dochodowych wynosił:

w przemyśle:

obróbki drzewa
25% ogólnej ilości zatrudnionych

odzieżowym
29% ogólnej ilości zatrudnionych

gorzelniczym
25% ogólnej ilości zatrudnionych

spożywczym
18% ogólnej ilości zatrudnionych

drukarskim
2% ogólnej ilości zatrudnionych

cukrowniczym
68% ogólnej ilości zatrudnionych

Ten stan rzeczy doprowadził na jesieni do groźnych objawów inflacyjnych i zachwiał walutą czeską, brak bowiem dochodów ze znacjonalizowanego przemysłu zmusił rząd do pokrywania wydatków inwestycyjnych w o wiele poważniejszym stopniu niż w Polsce z emisji a nie z dochodów skarbu państwa.

Ten stan rzeczy na długą metę nie mógłby być utrzymany i nowy rząd, jaki doszedł do władzy, po nieudanej próbie przesilenia rządowego wywołanej przez reakcję czeską, postanowił pogłębić nacjonalizację idąc pod tym względem za wzorami polskimi.

3. Katastrofalna susza w roku 1947 postawiła pod znakiem zapytania wykonanie planu rolniczego. Straty rolnictwa czeskiego w zbożu, burakach cukrowych, oleistych i paszy wyniosły ponad 12 miliardów koron. Do tego należy dodać katastrofalne straty w produkcji zwierzęcej na skutek braku pasz. W rezultacie tej klęski zbiory w roku 1947 wypadły niżej w porównaniu do planowanych, dla pszenicy o 56%, dla żyta o 72%, dla jęczmienia o 63%, dla owsa o 72%, dla ziemniaków o 48%, dla buraków cukrowych o 53%, dla pasz o 66%. Gdyby nie szybka pomoc Związku Radzieckiego, który dostarczył jeszcze na jesieni 1947 r. wielkich ilości zboża sytuacja żywnościowa mogła stać się katastrofalna.

4. Import czechosłowacki na lata planu przewidywany był w wysokości 500—600 milionów dolarów rocznie i miał być w całości pokryty eksportem. Postawiło to przed handlem zagranicznym Czechosłowacji konieczność zwiększenia o 40% wywozu w porównaniu z rokiem 1946. Niskie zbiory i niemożność eksportowania artykułów rolniczych, które zawsze w wywozie Czechosłowacji stanowiły poważną pozycję oraz konieczność importu zbóż i innych artykułów żywnościowych w roku 1947 i 1948 postawiły Czechosłowację w trudnej sytuacji. W dodatku pamiętać należy, że w r. 1947 największą pozycję w handlu zagranicznym Czechosłowacji stanowiły kraje, które przyjęły plan Marshalla. Ponieważ imperialiści amerykańscy pragną przy wymianie handlowej dyktować wszystkim krajom warunki polityczne, ograniczające suwerenność, Czechosłowacja musi się już w roku 1948 poważnie liczyć z koniecznością zmiany struktury swego handlu zagranicznego i rozszerzyć wymianę z sąsiadami kosztem krajów zamorskich.

Dlatego też rozszerzenie **stosunków handlowych z Polską** staje się dla Czechosłowacji **pilną koniecznością.**

Mimo tych wszystkich trudności naród czechosłowacki dzielnie sobie radzi z nimi.

Plan produkcyjny przemysłu został w trzech pierwszych kwartałach wykonany w 99.7%. Trudności eksportowo-importowe będą rozwiązane przez rozszerzenie współpracy z krajami słowiańskimi, w pierwszym rzędzie z Polską*) Rozszerzenie wreszcie racjonalizacji przemysłu i reformy rolnej, zapowiedziane przez nowy rząd zdynamizuje niewątpliwie masy pracujące do realizacji planu. Spodziewać się również należy, że za wzorem polskim, zostanie dokonana w Czechosłowacji i reforma podatkowa, która pozwoli rozłożyć wielki wysiłek inwestycyjny na całe społeczeństwo sprawiedliwie. Dotychczas największy udział w ponoszeniu kosztów realizacji planu ponosiła klasa robotnicza i niezamożne chłopstwo, zamożna część społeczeństwa czeskiego nie świadczyła w tym stopniu co inne warstwy uboższe.

*) Niedawny, pierwszy wyjazd do Pragi Ministra Przemysłu i Handlu H. Minca.

6. PORÓWNANIE Z TRZYLETNIM PLANEM ODBUDOWY W POLSCE

Przy porównaniu obu planów uderza wyraźna zbieżność w sformułowaniu podstawowych zadań planu u nas i w Czechosłowacji.

Jest nim podniesienie stopy życiowej szerokich mas powyżej poziomu przedwojennego. Zbieżność ta nie jest przypadkowa. System gospodarki planowej jest bowiem dzieckiem marksizmu, nie da się go realizować w warunkach kapitalistycznych, można go urzeczywistnić dopiero w warunkach, kiedy w ustroju i gospodarce zjawiają się podstawowe elementy ustroju i gospodarki socjalistycznej w postaci nacjonalizacji przemysłu, finansów, handlu zagranicznego, jak również reformy rolnej. A marksizm za główny swój cel stawia sobie poprawę bytu i warunków życia mas pracujących, jedynych gospodarzy kraju.

Z faktu jednak, że pod wzgl. struktury zawodowej i stopnia uprzemysłowienia Czechosłowacja w swoim rozwoju historycznym wyprzedziła Polskę o jeden conajmniej etap, wynikają i różnice w obu planach.

Nasz plan trzyletni jest jeszcze głównie planem odbudowy zniszczeń wojennych, plan czechosłowacki jest w większym stopniu planem rozbudowy gospodarstwa narodowego, Wynika to nie tylko z większego zaawansowania gospodarczego Czechosłowacji, ale również z o wiele mniejszych w porównaniu z Polską zniszczeń wojennych. Kto widział stan przemysłu, komunikacji, rolnictwa, miast w r. 1945 po przejściu frontu w Polsce i porówna to ze zniszczeniami w Czechosłowacji, powie, że Czechosłowacja wyszła z wojny prawie nietknięta.

Dlatego też Czechosłowacja może rozbudowywać w silniejszym stopniu przemysł, może rzucić większe procentowo sumy na budownictwo mieszkaniowe, może już myśleć o o podciągnięciu okręgów słabych gospodarczo, niedoinwestowanych, do poziomu przodujących okręgów przemysłowych.

Te same problemy staną i przed nami po zakończeniu trzyletniego planu odbudowy. Jednym z głównych zadań, jakie staną przed polskim narodem po r. 1950, będzie podciągnięcie ziem południowo-wschodnich do poziomu Ziem Odzyskanych.

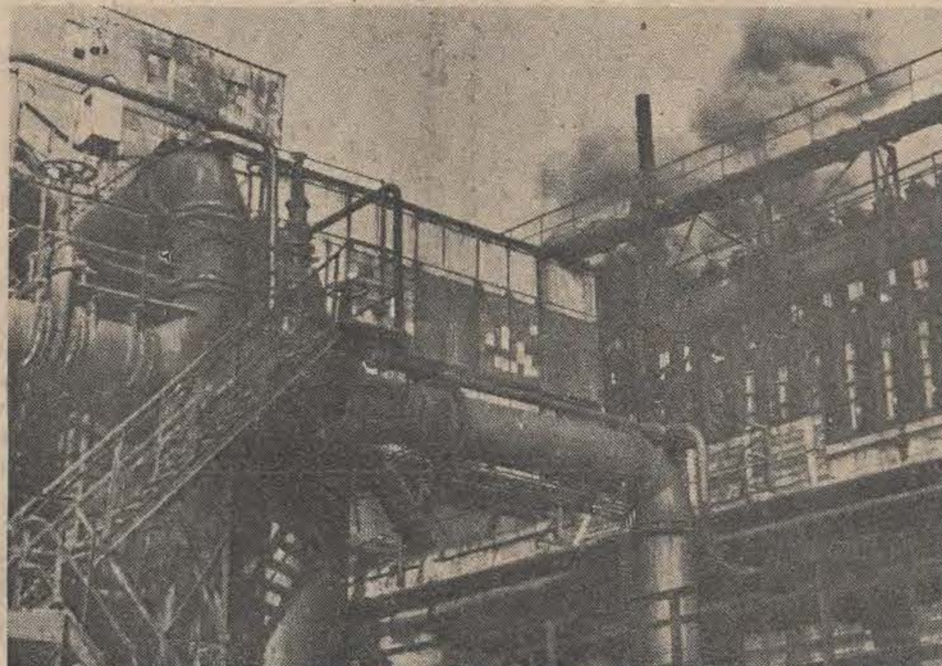
W latach 1945 — 1947 wykonane już zostały podstawowe zadania w dziedzinie zagospodarowania Ziem Odzyskanych. Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, poważna część Wybrzeża tętni już życiem i pracą bardziej niż przed wojną. W tym roku rusza z rozmachem Szczecin, a z nim i całe województwo szczecińskie, stanowiące jego zaplecze. Najgorzej pod wzgl. zagospodarowania przedstawia się jeszcze ziemia lubuska i woj. olsztyńskie, ale i tym terenom zostanie przywrócona ich sprawność gospodarcza jeszcze do końca planu trzyletniego to jest do końca roku 1949. Bogactwo przemysłowe Ziem Odzyskanych dla każdego Polaka stało się już sprawą oczywistą. Fakt, że w r. 1947 przeciętny zbiór z ha dla wszystkich ziemiopłodów (z wyjątkiem jęczmienia i buraków cukrowych) na Ziemiach Odzyskanych był większy niż na Ziemiach starych, świadczy nie mniej wymownie o bogactwie rolniczym tych ziem, o ich nowoczesnych podstawowych urządzeniach rolnych.

W następnych latach stanie przed nami w całej swej ostrości, konieczność podciągnięcia poziomu woj. białostockiego, warszawskiego, lubelskiego, kieleckiego, rzeszowskiego, krakowskiego do poziomu Górnego Śląska i Ziem Odzyskanych. Niedaleki to czas, kiedy tak jak w Czechosłowacji się już stało, trzeba będzie conajmniej 1/3 wszystkich inwestycji rzucić na zagospodarowanie i unowocześnienie tych ziem zaniedbanych, leżących w środku i na wschodzie Polski.

Do wykonania tego zadania już dziś — jesteśmy jeszcze za słabi. Obecny nasz potencjał przemysłowy jest jeszcze za mały do wykonania tak wielkiego dzieła. I dlatego po planie Odbudowy Gospodarczej musi u nas nastąpić plan modernizacji i rozbudowy istniejącego przemysłu i dopiero na bazie nowej, nowoczesnej techniki i na bazie zwiększonego potencjału przemysłowego będzie się można pokusić o podciągnięcie ziem starych do poziomu Ziem Odzyskanych i pod względem wyposażenia technicznego i zdolności produkcyjnej.

W tych planach rozbudowy polskiego przemysłu współpraca gospodarcza z Czechosłowacją odgrywać będzie większą rolę, bo pozwoli nam na szybszy rozrost uprzemysłowienia w oparciu o import artykułów inwestycyjnych z zaprzyjaźnionego z nami kraju.

Stanisław Cieślak



Wielka koksownia w Rybniku (Górny Śląsk)

Listy polityczne

Przed reformą oświatową

Kochana przyjaciółko!

Piszesz mi, że Wy tam na prowincji — zacofanej i biernej obserwujecie lepiej fakt, który dla mieszczuchów wygląda jak katastrofa przyrodnicza: polityka podmywa coraz szersze tereny życia. W poczuciu zagrożenia ludzie cofają się coraz głębiej — nie są już bezpieczni nawet w kinie, zorientowali się, że nie tylko w filmach przychodzących z Rosji, ale i z Zachodu działa pod formą melodramatu filmowego wielki blok polityczny. Inna rzecz, że Twoi znajomi sąsiedzi — nie uważają zachodnich tendencji w sztuce i literaturze za politykę. Nawet rodzina przestała być gruntem politycznie neutralnym. Doświadczasz tego boleśnie, zdaje się, na własnej skórze. Ani miłość, ani żadne rodzinne przywiązania nie zabezpieczają dziś od zasadniczych różnic ideologicznych. Mówiłyśmy wiele o tym, jak to zjawisko rozbicia rodziny, tak typowe dla naszej epoki, czeka na opracowanie literackie, dramatyczne. Coraz bardziej ludzie oswajają się z politycznością spraw kultury. Jednego tylko chcieliby azylu od polityki: neutralności szkoły. Dlatego chyba sprawa szkolna jest dziś świetnym termometrem do mierzenia temperatury radykalizmu różnych środowisk. Stąd tyle teraz plotek u was, dysput, lęków na temat projektu ustawy szkolnej, jaka prawdopodobnie będzie przedmiotem obrad jesiennej sesji sejmowej. 11-letni okres nauki w dwóch etapach: 7+4. Cóż to znaczy dla Twoich „strasznych mieszczan"?. Dwie rzeczy: 1) skrócenie czasu t. zw. średniego wykształcenia i 2) rozszerzenie tego wykształcenia średniego na szersze warstwy ludności. Kult dla nauki, dla wszechstronnej oglądy kulturalnej jest u nas zakorzeniony razem z kultem dla inteligenta jako typu społecznego.

A oto te dwa aspekty ustawy szkolnej zagrażają tradycyjnej pozycji inteligencji polskiej. Z jednej strony skrócony czas nauki średniej musi wpłynąć na upraktycznienie treści wykształcenia średniego, na uzawodowienie go, z drugiej strony zostanie rozbity w stopniu ostatecznym izolacjonizm inteligencji, gdy nie tylko ten i ów z ludu, ale cała masa osiągnie równy poziom, poziom kwalifikujący dotychczas na inteligenta.

Mój Boże! Czy rzeczywiście pan P. tak się martwi, że młodzież nie zdąży w szkole przeczytać całego Liwiusza i nie przerobi wszystkich zadań trygonometrycznych?

To jest ubolewanie w ogóle nad typem inteligenta polskiego: konsumenta europejskich smakołyków kultury, które będzie on musiał podzielić z ludem: z robotnikami i chłopami. A u was tam jeszcze: z rzemieślnikiem. Upowszechnienie średniego szkolnictwa zawodowego zagraża przysłowiowej ciemnocie szewca, którym straszono leniów gimnazjalnych.

Jest i inna sprawa charakteryzująca naszą społeczną opinię. Wasi prowincjonalni wrogowie polityki nie łatwo godzili się w 45 roku na projekt ośmioletniej szkoły powszechnej. Dziś bronią tego jednego roku tak, jakby szło o zbawienie własnej duszy; uważają szkołę 7-letnią za kradzież kulturalną popełnioną przede wszystkim na chłopie, gdyż szkoła średnia 11-letnia nie od razu i nie na każdej wsi się znajdzie.

Sama uczyłaś przecież w szkole I stopnia na zapadłej wsi. Szkoła I stopnia! tuż pod bokiem dworu, gdzie w saloniku wśród nut leżały malowane adresy dzieci szkolnych dla opiekunów — państwa, tuż pod bokiem plebanii, tuż pod bokiem jedynej rodziny S., która 2 synów wykształciła na księży — stała ta szkoła I stopnia dzieląca nawet i tak szczupły lokal ze sklepikiem. W jednej izbie uczyłaś 2 klasy, 3 lata dzieci tkwiły w jednej klasie nie posuwając się naprzód. — „Jakże się, pani nauczycielko, uczy mój Józek? Będą z niego ludzie?"

A Wł. Weychert - Szymanowska pisała w 1936 r.: „Oto dziś po 17 latach Polski niepodległej nie mamy jeszcze tego, co budziło entuzjazm w 1915 r. — nie mamy szkoły powszechnej dla wszystkich dzieci, nie starliśmy z czoła niewolniczego piętna analfabetyzmu. W bieżącym roku szkolnym 1 milion 200 tysięcy dzieci nie ma się gdzie uczyć".

Wówczas radykalne nauczycielstwo żądało:

1) zwiększenia budżetu szkolnego,

2) natychmiastowego przerwania reorganizacji szkoły powszechnej w myśl 3-stopniowej reformy szkolnej.

Nikt dziś nie występuje przeciwko jednolitej szkole powszechnej. Skrócenie nauki o 1 rok z projektowanych 8 na 7 lat nie powinno już epatować opinii. Projektowanych — podkreślam — bo przecież jeśli chodzi o wieś, mało gdzie powstała ta 8-ma klasa. I tu jest problem. Jesteśmy ciągle na tak wstępnym etapie upowszechnienia kultury i oświaty, że rozszerzenie bazy szkoły podstawowej jest nadal ważniejsze niż podniesienie poziomu wykształcenia na wsi, co było dostępne dotychczas tylko wsiom wyjątkowym. Nie okłamujmy się. Szkół mieliśmy mniej w Polsce i na wsi niż kościołów, więcej petentów do spowiedzi z kartką kontrolną (a tak!) niż czytelników pism i książek.

Gimnazja chłopskie, o których dyskutowałyśmy kiedyś, zakorzeniły się w środowisku wiejskim o wiele łatwiej i głębiej, niż przypuszczałyśmy obie. Oczywiście brak nauczycieli, brak wykwalifikowanych nauczycieli, nawet gdy znajdą się nauczyciele dobrej woli i końskiej pracy od rana w szkole, do późnego wieczora w gimnazjum. I w tym sensie, bo nie przez brak uznania w środowisku, gimnazja chłopskie były często obcym ciałem na wsi. Zagęszczenie sieci szkół pełnych 11-letnich to będzie stopniowe, coraz mocniejsze wrastanie kultury na wsi. To będzie już nawet sąsiedztwo wsi z uniwersytetem.

Partie polityczne wyraziły swą opinię w sprawie szkolnej, Komisja Sejmowa opracowała projekt. Wszystkie dyskusje na tematy demokratyzacji kultury, które nas tak zajmowały w 45—6 roku tu się zbiegają. I choć oczywiście ustawa szkolna nie będzie jakąś żelazną ramą, choć praktyka realizacji wytyczy ostatecznie jej normy, będzie ona reformą konsekwentnie wynikającą z poprzednich gospodarczo strukturalnych, reformą dla nas zasadniczą, o znaczeniu nie tylko moralno - społecznym, ale politycznym.

A oto tu masz coś, co przyda Ci się w rozmowach z prowincjonalnymi „politykami": **według spisu z 1931 r. było w Polsce około 6,5 miliona analfabetów.**

Lata do wojny i lata wojenne pracowały na to, aby powiększyć tę cyfrę. O sprawie szkolnej pisze się u nas za mało. Ale wydaje mi się, że tu rzeczywiście można kończyć dyskusję. A czy myślisz, że większa część tej tragicznej liczby nie przypada na wieś?

Paulina

W OSTATNIM NUMERZE 16 (145)
z dnia 18 kwietnia 1948 r.

Tadeusz Orlewicz — Francja, Francja!...; **Mieczysława Buczkówna** — Dziewczyna mówi z grobu; **Listy polityczne:** — Jest w narodzie siła; **Henri Lecourtois** — Wraki; **Listy polityczne:** — Służba Polsce; **Witold Jedlicki** — Bezdroża egzystencjalizmu; **Witold Kula** — Anglia w świecie powojennym; **Józef Putek** — Walka parlamentarna kmiecia z zagrodnikiem; **Paul Eluard** — Do Pabla Picassa — Kres potworności; **Lech Budrecki** — Czy taki jest los człowieka?; **Jan Aleksander Król** — W „Chłopach i Państwie" pugu, pugu; **Mieczysława Buczkówna** — Dawno znajomej; **Zofia Przęczek** — Morgi; **Józef Bryczek** — Żeromski w teologicznym wykładzie; **Anna Kamieńska** — Z Kwestarzem Wielkanocnym sprawa; **Michał Balara** — Zniesiono pańszczyznę dopiero w r. 1931; **Znacie ich?: O. C.** — Cacy — pensjonarka; **Jerzy** — Cacy — studenciki; **Tekla** — Cacy ciocia; **Zdzisław** — List do wydawców; **Z. Kasprzak** — Dwie sprawy; **Famulski Franciszek** — Czekamy na odpowiedź; Komunikaty; 19 ilustracji; stron 12.



rys. autora

Marian Narcyz Listowski

Na prowincji — myszy!

(List otwarty do Jana Aleksandra Króla)

Szanowny Panie Redaktorze!

„Jeżeli chcecie stworzyć mysz, weźcie garnek z ziarnem, zatkajcie go brudną koszulą a za miesiąc wybiegnie z niego cała gromada myszy". To zdanie Helmonta pisane w XVII-tym wieku przypomniało mi się po przeczytaniu w numerze świątecznym „Odrodzenia" artykułu Ksawerego Pruszyńskiego p. t. „Kwestarz Wielkanocny".

Wymieniony pisarz spędził tydzień czasu w Lubelszczyźnie, z czego dzień w Chełmie. Tu spotkał się, jak pisze, z żywym, silnym inteligentnym kontaktem z publicznością. Publiczność tę stanowiło w znacznej większości nauczycielstwo i inni przedstawiciele miejscowej inteligencji. Pruszyński nie widział, nie dojrzał, bo i trudno mu było zresztą, w ciągu jednego dnia — nie dojrzał prowincjonalnych myszy.

Jeśliby ktoś chciał stworzyć mysz prowincjonalną, musiałby przyjąć receptę według wzoru Helmonta. W garnku prowincjonalnego miasteczka stworzyć warunki gospodarcze, oparte na zbożu rolnej okolicy i zatkać to brudną koszulą dorobkiewiczowstwa. Choćby niestrudzony Kaj (Kazimierz Andrzej Jaworski) przebijał okno na kulturalny świat, choćby garstka nauczycieli wskazywała drogę postępu — niewiele przyjdzie z ich wysiłków.

Z garnka pokażą nosy przeróżne myszy: sklepowe, biurowe, kościelne, warsztatowe i te przybyłe ze wsi — myszy będą siedzieć w garnku, tworząc uparcie towarzystwa własnej adoracji.

RODOWÓD GETTA

Czy Chełm jest typowym miasteczkiem prowincji? Chyba tak, choć jest oryginalny — jedyne chyba miasto w Polsce położone na górze, ma przeto odmienny urok. Liczy dziś około 24 tysięcy mieszkańców. Nawet przybysz po kilku godzinach powie, że jest to miasto wybitnie dzielnicowe. Wyodrębnimy cztery: 1) stare miasto, 2) działki urzędnicze, 3) dzielnica kolejowa, 4) dzielnica przedmiejska. Każda z tych dzielnic stanowi odrębny świat.



Kościół Rozesłania św. Apostołów
Linoryt Zenona Waśniewskiego

Dlaczego odrębny świat? Czy dlatego, że część dzielnicy kolejowej tzw. dyrekcja ma wodociągi, że na „pilichonkach" (taka popularna nazwa dzielnicy przedmiejskiej) pełno walących się ruder, czy dlatego wreszcie, że jedna dzielnica jakby gardziła drugą? Przecież te wodociągi, te rudery, ta pogarda dzielnicy są zaledwie widocznymi znakami we mgle. Postarajmy się przedrzeć przez tę mgłę.

Stare miasto powstało najdawniej — te wiekowe kamieniczki, te ciasne, zapluskwione mieszkania, wąskie, kręte schody liczą sobie często więcej niż 150 lat. Ale kamienice starego miasta nie mówią jeszcze nic, jeśli nie uwzględnimy, że mieszczą się w nich urzędy, szkoły, a przede wszystkim sklepy i sklepiki.

Tu jest magnes przyciągający wszystkich, tu rozwija się bowiem i koncentruje życie gospodarcze całego miasta. Dzielnica zamieszkała przez rzemieślników, kupców i kupczyków od wielu, a urzędników od dwu pokoleń. Mieszkają tu od urodzenia w ciasnocie swych mieszkań, zapełnionych meblami jak w magazynach sklepowych o atmosferze ubiegłej epoki tak, że tworzą swoiste getto społeczno-towarzyskie. Ich awans społeczny to wejście do inteligencji. Drzwi do niej otwiera zwykle matura czyli świadectwo dojrzałości. Połowa chełmskich urzędników to właśnie tak powstała świeża inteligencja. Mieszkają obok, tworzą jedną grupę pozaburżuazyjnej inteligencji.

Ich awans społeczny idzie przez uniwersytet, przez dyplom magisterium czy doktoratu, który osiągnie młodzież, szturmująca uniwersytety Lublina. Ale ta młodzież nosi na sobie piętno drobnomieszczańskiej martwoty, która uzewnętrznia się w negatywnym lub biernym stosunku do nowej rzeczywistości. Ten stosunek wyrósł stąd, że zamknięto im drogę do innego w ich pojęciu awansu.

Dziadkowie, ojcowie i synowie pracowali na to, by dorobić się wielkich domów towarowych, prywatnych koncesji. A tymczasem wyrosły obok nich groźne w swym rozwoju spółdzielnie, samopomoce, państwowe domy towarowe i t. p. Dlatego to jeszcze po cichu nazywają Związek Samopomocy Chłopskiej jaczejką komunistyczną, a spółdzielnie kołchozami, Z. W. M. i „Wici" to u nich bezbożnictwo i bolszewickie placówki agitacyjne. Judzą, żerując na długowiekowej nieufności mieszkańców Chełma do wszystkiego co ze wschodu. Przecież ta ziemia męczeńska przez swoją głęboką wiarę — przypominam prześladowania unitów — do dziś czuje nienawiść do caratu i mimo tak wielkich przemian w Rosji — sam wyraz: „rosyjskie", budzi tu nieufność.

Ci kupcy woleli pełnić rolę dobrotliwych filantropów, podtrzymujących dobroczynne organizacje kościelne, by potem ksiądz z ambony wyczytywał wobec całej parafii, że pan X, Z, Y właściciel hurtowni czy młyna ofiarował na dom starców dwa tysiące złotych.

Obłudna to filantropia — ale świetna reklama.

Odległe od starego miasta o kilometr, połączone z nim długą ulicą Hrubieszowską, działki urzędnicze powstały w okresie międzywojennym. Wille i dworki w sadach i ogródkach. Mieszkańcy tej dzielnicy mają idealne warunki zdrowotne, blisko las, wkoło pola. A ludzie — ich stanowiska społeczne i rodowód, przeobrażenia, pojęcia i stosunek do rzeczywistości? Nowe getto.

Na działkach spotkamy jeszcze, gdzieniegdzie starą poszlachecką inteligencję. Wyrwani z dworu, zdegradowani, pariasi o wielkopańskich aspiracjach żyli w ułudzie pańskich egzystencji. Trzeba było jednak z czegoś żyć. Handel był zbyt hańbiącym zajęciem, rzemiosło również. Ale znalazło się wyjście, zdeklasowany szlachcic stał się urzędnikiem.

Papierowa formalistyka biurokratycznego urzędowania dawała pozycję zastępczą dawnej wielkości i ważności społecznej. Mieszkali niegdyś na starym mieście. A przecież mieszkając wśród kupców i rzemieślników nie łączyli się z nimi. Synowie kupieccy i rzemieślniczy dążący do wciśnięcia się w tę klasę przez matury i stanowiska urzędnicze byli ostro selekcjonowani. Ci ex-ziemianie korzystali z każdej okazji wyodrębnienia się. Skoro nadarzyła się możliwość utworzenia dzielnicy urzędniczej oni byli pierwsi.

Własna willa, często stylizowana na „zachodnio - europejskie", czasem na szlachecki dworek przypominała „dawne, dobre czasy". Odrębność! Bo przecież powciskali się tam także i to dość licznie, chorujący na wielkość urzędnicy „stanu niższego": inteligenci, synowie kupców i rzemieślników, jak i stylizujący się na pana inteligenci — urzędnicy pochodzenia chłopskiego.

Miarę metra bierzemy z pręta wzorcowego przechowywanego w Międzynarodowym Biurze Miar i Wag w Sèvres pod Paryżem. Jest ona obowiązująca. Tu inteligencja poszlachecka stała się wzorcem, obowiązującym dla reszty inteligencji. W ich domach: myśliwskie strzelby, na krzyż stare pałasze (znikły w czasie wojny), ryngraf wielki, obrazy starych dworków i portrety dziadków, stare aleje lub reprodukcje myśliwskich obrazów Fałata. W bibliotekach domowych powieści: M. Rodziewicz, H. Sienkiewicza, Weyssenhoffa, Kraszewskiego.

Do „saloniku" wpuszczani byli tylko „swoi" ludzie „dobrze wychowani" lokujący tu jałowość myśli i bezproduktywność zajęcia. Naśladownictwo wzorca, równy poziom umysłowy, czas, sąsiedztwo, czasem miłość, zbliżyły w końcu do siebie oba inteligenckie getta i zespoliły. Pozostała jedna cecha wspólna: odrębność. Jako ludzie „dobrze wychowani", ludzie z maturą, ludzie „na stanowiskach" stronią od reszty mieszkańców.

To stronienie opiera się nie na unikaniu stosunków z warstwami niższymi kulturalnie (a przy tym, jak to było przed wojną materialnie) w ogóle, bo to przecież niemożliwe, ale na stworzeniu dystansu między sobą a niższymi. Żeby ci niżsi swoją niższość koniecznie odczuli, żeby ich zdanie można było ignorować, jako nie mające żadnej wartości.

A jeśli już przyjmowali i przyjmują do siebie kogoś z warstw niższych, bo dorównał im poziomem umysłowym, to za cenę jego zerwania ze środowiskiem rodzinnym.

Przyznanie się maturzysty do tego, że jego ojciec jest chłopem lub szewcem uważane jest i dziś jeszcze za wysoki nietakt, jakoś to go w oczach otoczenia dyskwalifikuje.

W. Kętrzyński w „Tygodniku Powszechnym" z 1. 7. 1945 r. w artykule p. t. „W inteligencji polskiej" najlepiej wyraził ideologię inteligenckiego getta. Cytuję: „Nie wolno... kosztem wartości inteligencji powiększać jej ilości". A wartość tej poszlacheckiej i odtworzonej na jej wzorcu pozaburżuazyjnej inteligencji w świetle tworzącej się rzeczywistości jest naprawdę i znikoma i bardzo mizerna. Wie ona o tym dobrze, ale przyznać się nie chce. Jedyny wyjątek stanowi część nauczycielstwa, ale o tym potem.

RODOWÓD WARSTW ROBOTNICZYCH

Chełmska stacja kolejowa przez swoje powstanie ściągnęła do miasta dwa elementy. Pierwszy, kierowniczy, wywodzący się z Warszawy, Brześcia i Lublina, oraz drugi wchodzący w „liniowe" funkcje kolejarskie — element z przedmieścia. Koło stacji zbudowano kilka kamieniczek dla urzędników, inżynierów, techników i majstrów przybyłych do Chełma. Wokół nich i na całej długości drogi łączącej miasto ze stacją rozsiadły się domki tutejszych kolejarzy. Tak powstała nowa ulica Kolejowa i cała kolejowa dzielnica. Z biegiem lat zamiejscowi częściowo powrócili do swych miast, częściowo osiedlili się już na stałe w Chełmie.

Sfera kolejarska, jak wspomniałem, pochodzi z ludności przedmieścia. (W małych miastach przedmieście nie różni się od wsi). Ma ona bardzo niewiele cech wspólnych ze starym miastem i przez długie lata żyje swym odrębnym trybem. Nowe prądy społeczne tu właśnie, prawdopodobnie z przybyszami przenikające do Chełma znajdują zwolenników i sympatyków.

Tu znaleźć można starych działaczy socjalistów, którzy w 1905 roku wylegli na ulice miasta, by zamanifestować solidarność z rewolucją — bojówkarzy, którzy rok rocznie w dniu 1 maja wychodzili z czerwonymi kokardkami i okrzykami na ulice miasta, sabotażystów okresu okupacji którzy dawali znać partyzantom o terminach i rodzaju przechodzących pociągów. Tu toczyła się cicha „walka o szyny". Oni dziś występują najtłumniej pod sztandarami PPS-u. Starzy i nowi socjaliści.

Do stacji przylegają działki kolejowe oddzielone wzgórzem od urzędniczych. Nie bez znaczenia jest, że te małe domki w ogródkach działek kolejowych inny mają wygląd niż domki urzędnicze.

Trzecia część dzielnicy kolejowej, dyrekcja, którą stanowi szereg murowanych bloków i will biegnie jak gdyby ku staremu miastu, lecz zatrzymuje się w połowie góry, która ją od starego miasta dzieli. Powstała w latach trzydziestych naszego stulecia i jej istnienie wiąże się z niezrealizowanym pomysłem przeniesienia tu Radomskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Polskich. Dziś dyrekcja zamieszkana jest przez mieszkańców zburzonej bombami (1939) ulicy Kolejowej i kolejarzy z innych miejscowości, którzy znaleźli tu po wojnie zajęcie.

Ludzie tej dzielnicy nie byli przyjmowani w kręgach inteligencko - urzędniczych, stworzyli własną dzielnicę o widocznym wyrazie ideologicznym i przyjęli własną postawę.

Moi uczniowie (szkoła powszechna dla dorosłych) są przeważnie z tej dzielnicy, często kolejarze. Nie wstydzą się przyznać do swego pochodzenia i zawodu. Ale uczennica liceum, której wyższość kulturalna inteligencji zaimponowała, pytana o zawód ojca odpowiada: urzędnik. Przyciśnięta pytaniem gdzie jej ojciec pracuje, mówi wymijająco: na kolei. Zapytana o stanowisko, o pełnioną funkcję milczy, czerwona jak mak, odpowiada cicho: woźny. Więc nie urzędnik, ale po prostu: kolejarz.

Dlaczego wstydzi się zawodu ojca? Aspiracje wejścia do inteligencji każą jej zataić prawdę. Ona już doszła do własnej koncepcji, że przez próg do inteligencji można wejść za cenę zerwania ze swym środowiskiem rodzinnym. I gdy już wejdzie do niej, zamknie za sobą drzwi od getta, tak samo jak zamknął je pewien urzędnik pracujący w starostwie, który wstydzi się wyjść ze swą matką na główną ulicę, bo ona nosi strój wiejski.

Wiem jednak, że moi uczniowie skończą i gimnazjum i liceum, a nie będą wstydzić się swego pochodzenia, ani zawodu swych ojców. Po pierwsze: sami ten zawód spełniają, powtóre: wiedzą już o wartości każdego zawodu — wartości dobrze spełnianych obowiązków. Dziś obowiązkiem każdego nauczyciela jest uświadomić to swoim uczniom. Nauczycielstwo chełmskie — w każdym razie jego większość — pracuje nad tym. W ten sposób rozbija garnek, w którym lęgną się prowincjonalne myszy, chorujące na manię wielkości, wzorujące się na niezdolnej już do postępu inteligencji poszlacheckiej.



Stara brama miejska
Linoryt Zenona Waśniewskiego

Pilichonki to dzielnica przedmiejska. Przebiegam przedmiejskie niegdyś ulice: Hrubieszowską i Lwowską. Ale o ile tamte rosły powoli i wchodziły stopniowo w skład miasta, o tyle rozwój tej dzielnicy ma inny, odrębny charakter. Rozrosła się ona wtedy gdy Chełm rozbudowywał się. Powstała dyrekcja, powstały działki, w obrębie starego miasta, nowe gmachy. Ktoś musiał to budować. Ludność pobliskich wsi osiadła tu na przedłużeniu ulicy Lubelskiej, sklecila nowe, małe chałupki o typie wiejskim, nowe krótkie, zamknięte uliczki.

Zakładali rodziny, warsztaty, kuźnie, ale wszystko to trwało bardzo krótko, kilka zaledwie lat. Zastój w rozbudowie był ich klęską. Budowali nie dla siebie, sami zostali i biedni i ciemni. Świadomość solidarności klasowej tak wyraźna w ruchu socjalistycznym kolejarzy, tu kształtowała się na doświadczeniach rodzinnych. W poszukiwaniu zarobków, bo powrót do wsi został zamknięty, wchodzili do miasta tworząc najlichsze warsztaty rzemieślnicze. W ten sposób ta garstka połączyła się ze starym, miejskim proletariatem. Reszta biedowała, oni reprezentowali sezonowych robotników i sezonowych bezrobotnych. Dzieci ich poprzestawały na szkole powszechnej. Do gimnazjum ze względów materialnych wstęp był niezwykle ciężki. Ta warstwa „źle wychowanych" najgorzej wychowana miała drogi do awansu zamknięte.

Od miasta oddziela ich rzeka i tor kolejowy. Jest most, ale przed mostem szlaban na przejeździe. Ten szlaban stał się symbolem. Był opuszczony. Dopiero lata powojenne podniosły go. Część mieszkańców przeniosła się do innych dzielnic miasta, część wyjechała na Ziemie Odzyskane w poszukiwaniu lepszych warunków.

(C. d. n.)



Typowy „dworek" na działkach urzędniczych

rys. autora



Zaraniarze (r. 1911)

Stefan Ignar

Ruch „zaraniarski"

ALEKSANDER Świętochowski w swej „Historii Chłopów" w tomie II na str. 466 napisał bardzo charakterystyczne zdanie na temat „Zarania" i „Wyzwolenia": „Z tej czystej grupy ideowej wyłoniło się niechlubnej pamięci przedsiębiorstwo pod nazwą: „Wyzwolenie".

Wypowiedź A. Świętochowskiego, uczestnika ruchu „zaraniarskiego" i współtwórcy pierwszych szkół rolniczych zasługuje na specjalną uwagę, ponieważ pozwala nam oświetlić mechanizm przemian w ruchach społecznych.

Są działacze, którzy wraz z rozwojem społecznym środowiska sami ulegają przeobrażeniom. Do takich należał Maksymilian Malinowski, najpierw redaktor „Zorzy", następnie założyciel i redaktor „Zarania", wreszcie twórca PSL-u „Wyzwolenie" i redaktor organu tej partii. Inni zaś działacze zdolni są do przebycia tylko jednego etapu rozwojowego, a w następnym okresie stają się zaporą na drodze, po której sami przez pewien czas szli. Do takich typów należał Konrad Pruszyński, założyciel i redaktor „Gazety Świątecznej". Podobnym do niego pod tym względem był A. Świętochowski, idealizujący pracę „Zarania", a równocześnie potępiający gwałtownie „niechlubną" pamięć „Wyzwolenia".

A przecież „Gazeta Świąteczna", „Zaranie" i „Wyzwolenie" reprezentują jeden ciąg rozwojowy oświaty na wsi i społecznego dojrzewania warstwy chłopskiej. „Gazeta Świąteczna" uczyła czytać, wiązała warstwę chłopską z historią narodu, propagowała racjonalną pracę w rolnictwie. Równocześnie jednak pismo to starało się o podtrzymanie autorytetu ziemiaństwa i patronatu proboszczów. „Gazeta Świąteczna" była wyrazem rozwoju po-pańszczyźnianej wsi i w tym okresie spełniła swoją pionierską rolę. Z „Gazetą Świąteczną" wiąże się działalność oświatowa ostatniej ćwierci XIX w. Tenże sam K. Pruszyński opracował i wydał pierwszy powszechny elementarz do nauki czytania i pisania w r. 1875 i rozprowadził go w ilości 525 tysięcy do 1896 r. Równoległą do pracy Pruszyńskiego - Promyka była działalność Mieczysława Brzezińskiego, redaktora „Zorzy" i autora popularnych broszur przyrodniczych, kolportowanych wśród chłopów. Pruszyński i Brzeziński to postacie związane z postępem wsi w końcu XIX wieku. Jest to pierwszy etap rozwojowy w historii chłopów, o ile historię uznamy za dzieje rozwoju cywilizacji, w której dane środowisko świadomie wiąże się z powszechnym dorobkiem narodu i ludzkości przy pomocy środków pośredniej łączności, zwanych popularnie oświatą.

„Zaranie" stanowiło na terenie Kongresówki następny etap rozwoju społecznego wsi. Rozwój ten był oczywiście uwarunkowany osiągnięciami okresu poprzedniego reprezentowanego przez „Gazetę Świąteczną" i „Zorzę", nie mógłby jednak mieć miejsca bez oddziaływania ogólnych warunków historycznych i wpływu innych warstw społecznych. Mowa tu o społecznej krystalizacji klasy robotniczej w ówczesnym Królestwie Kongresowym oraz ogólnych ruchach rewolucyjnych w Rosji, spowodowanych niekorzystną dla tego państwa wojną japońską.

„Zaranie" powstało w 1907 r. jako ostateczny wyraz ruchu społecznego, który został zapoczątkowany w r. 1904 i wyrażał się w próbach sformułowań programowych organizacji politycznej i akcji publicystycznej i oświatowej. O zjawiskach poprzedzających „Zaranie" od 1904 r. do 1905 r. pisze Łukasz Kumor w artykule „Z dziejów ruchu ludowego", zamieszczonym w pierwszym numerze „Myśli chłopskiej" z maja 1947 r.

„Zaranie" wyszło pod hasłem „Sami sobie". Hasło to głosiło niezależność chłopów od szlachty i kleru. Było to na owe czasy hasło wywrotowe. Zawierało ono elementy świadomości klasowej chłopów. Przekreślało zasady dotychczasowego układu stanowego i patronactwa społecznego wyższych warstw. Godziło w autorytet proboszczów

Ze stanowiska potrzeb ekonomicznych ruch „zaraniarski" należy zaliczyć do kierunku agrarystycznego. Źródło zaś agraryzmu należy widzieć w układzie stosunków, jakie zaistniały w rolnictwie po wyzwoleniu i uwłaszczeniu chłopów. „Zaraniarzom" chodziło o to, aby chłopom wywalczyć miejsce w ówczesnym klasowym ustroju społeczno-gospodarczym. Wskutek zaś różnicowania się ustroju rolnego pod wpływem oddziaływania kapitalizmu wyłoniła się kategoria zamożniejszych chłopów, którzy mieli więcej niż inni szans do wmontowania swej gospodarki w ramy ustroju. Prowadziła do tego racjonalna uprawa roli i spółdzielczość wymienno-kredytowa. Aby pociągnąć za sobą ogół chłopów nie mających szans awansu gospodarczego w ustroju kapitalistycznym, wytworzyli oni opinię **solidarności klasowej**, głoszącą jedność interesów i idei całej warstwy chłopskiej.

Uwzględniając powyższe uwagi ekonomiczne — należy przyjąć, że ruch „zaraniarski" miał charakter emancypacyjny. Przeciwstawienie się starym autorytetom dworu i parafii — stanowiło rewolucję w dotychczasowych stanowych stosunkach wiejskich. Był to zasadniczy zwrot w historii chłopów. „Zaraniarze" stali się pionierami ruchu, wprowadzającego wieś jako element czynny do społeczności narodowej. Praca Promyka i innych oświatowców poprzedniego okresu uczyła chłopów historii narodu, w skład którego chłopi nie wchodzili, podczas gdy Malinowski i Nocznicki walczyli **o miejsce dla chłopów w społeczności narodowej.**

Biskupi i proboszczowie broniąc starego układu stanowego wystąpili ze zdecydowanym potępieniem ruchu „zaraniarskiego". Biskup kujawsko-kaliski St. Zdzitowiecki wydał w r. 1911 list pasterski nakazujący wykluczenie „Zaraniarzy" z gmin wyznaniowych. To samo zrobił biskup kielecki — Łosiński. Do walki z „Zaraniarzami" został skierowany specjalnie wzniecony fanatyzm ciemnoty wiejskiej. Księża nie cofali się także nieraz przed denuncjacją polityczną „Zaraniarzy" wobec władz zaborczych.

Ł. Kumor w swej cennej, a niestety dotychczas niewydanej pracy pt. „Z dziejów ruchu ludowego w Królestwie" przytacza następujący obrazek ze Sterdyni opisany w „Zaraniu" nr 5 z dn. 3.II 1910 r. przez Wojciecha Z.

„Jeden z czytelników „Zarania" jechał z pewną kobietą. W rozmowie powiedział jej, jaką gazetę czyta. Kiedy dojechali do wsi kobieta zeskoczyła z wozu, krzykiem zaczęła zwoływać ludzi, a gdy się zbiegli powiedziała im, że ten oto czyta „Zaranie". Owieczki ks. Wojciechowskiego rzuciły się na biedaka groźnie i tak mu zagroziły zabiciem, że czytelnik nasz widział się zmuszony ratować". Ukląkł wtedy przed rozbestwionymi „owieczkami" i przysiągł, że „Zarania" czytać nie będzie, byle mu tylko darowali życie. Baba owa pobiegła do księdza wikarego z raportem, a „dobry" pasterz w najbliższą niedzielę pochwalił swe „owieczki", że „szlachetnym swym czynem" uratowały „jednego grzesznika".

Ciężkie więc chwile przeżywali „Zaraniarze" walcząc o emancypację społeczną. Opierając się skutecznie temu ciężkiemu atakowi kleru, który sprzymierzony z ziemiaństwem chciał za wszelką cenę utrzymać stosunki społeczne na wsi w anachronicznym stanie formacji przedkapitalistycznej, „Zaraniarze" zrobili pierwszy wyłom w murze izolacji, oddzielającej chłopa od narodu.

Nie należy jednak tych osiągnięć utożsamiać z walką przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu. Była to raczej **walka o miejsce w ustroju kapitalistycznym**. Mimo to w zapóźnionym rozwoju Polski „Zaranie" stanowiło niewątpliwie ruch postępowy.

Przejawy walki z ustrojem kapitalistycznym na gruncie ruchu ludowego zauważamy dopiero w działalności „Wyzwolenia" w latach 1918—1919 — w okresie tworzenia się państwowości polskiej, co uwiecznione zostało w manifeście Rządu Ludowego w Lublinie. Był to jednak okres krótki. Wojna w 1920 r. zadecydowała o przegranej chłopskiego ruchu rewolucyjnego. Wyraziciel jego, Stanisław Thugutt, zająwszy wrogie stanowisko wobec Związku Radzieckiego, nie zdołał się oprzeć kierunkowi ugody z ustrojem kapitalistycznym.

Jedną z głównych cech ruchu „zaraniarskiego" była jego gospodarskość. Ideologia polegająca na racjonalizacji rolnictwa i wprowadzeniu doń kalkulacji kapitalistycznej była niewątpliwie ideologią postępową. Jeśli jednak uwzględnimy niezdrową strukturę rolną, która już wtedy istniała na terenie b. Królestwa Kongresowego, to musimy dojść do wniosku, że już w działalności „Zaraniarzy" tkwiły elementy, które w następnych okresach spowodowały **zapóźnienie i izolację wsi** od ruchów rewolucyjnych walczących z ustrojem kapitalistycznym.

Atmosferę społeczną i pozycję gospodarczą „Zaraniarzy" odzwierciedla między innymi urywek ze wspomnień Tomasza Nocznickiego, opisujący wycieczkę*.

„A latem w r. 1911 „Zaranie" zorganizowało wielką wycieczkę krajoznawczą. Wycieczka ta była firmowana przez Kółka Staszicowskie, zebrała się nas spora gromada, zwiedziliśmy Łowickie, byliśmy na Kujawach, gdzie miejscami Zaraniarze i Kółkowicze przyjmowali nas gościnnie, przez trzy dni swoim kosztem, chociaż było nas około 200 osób. I było nam dobrze, wśród braci, i było co jeść. I nie wypito w tej gościnie ani kropli wódki, ani szklanki piwa. Jedzenia było w bród, po jedzeniu herbata, a potem rady i narady w szałasie z zieleni, pod niebem tylko, jakby prastare prasłowiańskie czasy i słowiańska gościnność zostały wskrzeszone. A potem statkiem pojechaliśmy dalej i znowu koleją do Czerniejowic, gdzie obywatel I. Bartczak czekał na nas ze 150 pięknymi brykami, bo Kujawy były przed wojną bogate, ziemia tam dobra, gospodarka chłopska niezła. To też dostatek był duży i widoczny. A przy tym moda. Otóż modą było na Kujawach nawet przy jednokonnym gospodarstwie mieć brykę resorową i ładne szory na koniach.

To też gdy 150 bryk stanęło przed małą stacją pewnej letniej niedzieli, to ludność miejscowa z zadziwieniem czekała i patrzała, kto też tymi i tyloma brykami pojedzie. Nadszedł pociąg i z wagonów wysiadło około 200 osób, z radością wita nas ob. Bartczak, siada z nami na brykę, gromada naszych dotychczasowych gospodarzy spod Dobrzynia na czele i wielkim korowodem, jakby letnim chłopskim wyrajem do Kruszynka".

Gdzieżby tam w takim godnym towarzystwie, w którym jednokonny gospodarz stanowił wyjątek, zmieścił się dajmy na to fornal albo też i gospodarski parobek.

Sprawy zdegradowanych gospodarczo chłopów, którzy szli do łódzkich fabryk lub do Prus na sezonowy zarobek, nie interesowały postępowych „Zaraniarzy". Do szkół rolniczych zakładanych przez Dziubińską w Kruszynku, Sokołówku, Pszczelinie, Bratnem i Gołotczyźnie przy pomocy A. Świętochowskiego, A. Bańkowskiej, M. Malinowskiego i innych szli synowie i córki zamożnych gospodarzy. J. Niećko który tak ostro zaprotestował w „Chłopach i Państwie" przeciwko twierdzeniu, że ruch „zaraniarski" opierał się na bogatszym elemencie chłopskim, stwierdza równocześnie, że nie miał możności jako wyrobnik skorzystać ze szkoły rolniczej. „Zaraniarze" mieli poczucie swej pozycji społeczno-gospodarczej. Świadczy o tym artykuł w „Zaraniu" nr 50 z dnia 12. XII. 1912 r. poświęcony sprawie budowy domu ludowego w Warszawie. W artykule tym między innymi czytamy:

„Dziś można już bez omylenia się powiedzieć, że przedpłatnikiem „Zarania" musi być tylko człowiek społecznie w człowieczeństwie swym i majątkowo nie zależnym... są między nami ludzie we wsi najświetniejsi, najwięcej postępowi, często zamożni... Rozkupienie przeto przez nas tysiąca udziałów sturublowych — nie stanowi niemożliwości — przeciwnie, stanowczo twierdzę, iż tysiąc takich udziałowców pomiędzy kilkoma tysiącami „Zaraniarzy" z łatwością się znajdzie".

Ruch „zaraniarski" powiązany z rozwojem szkół rolniczych, Kółek Rolniczych im. Staszica i Spółdzielni (zwłaszcza mleczarni i kas pożyczkowych), był ruchem górnej warstwy chłopów, nie był to jeszcze powszechy ruch ludowy. Idea izolacji chłopów od zagadnień przemysłowych i robotniczych, która tak silnie występowała w „Zorzy" i „Gazecie Świątecznej", utrzymała się w „Zaraniu". Malinowski prowadząc wycieczkę chłopską do Czech, nie zrozumiał istoty rozwoju rolnictwa czeskiego. Zdawało mu się, że tę istotę stanowi racjonalizacja i spółdzielczość podczas gdy racjonalizacja pracy w gospodarstwie rolnym i rozwój powszechnej spółdzielczości możliwy był dopiero **pod wpływem rozwoju przemysłu i odludnienia wsi.** „Zaraniarze", jak zresztą i późniejsze organizacje partyjne, nie wyłączając radykalnego „Wyzwolenia", a nawet nowoczesnej organizacji młodzieży „Wici", pod wpływem wlokącej się poprzez dziesiątki lat złej tradycji gospodarskiej, nie mogły — poza wyjątkami — trafić do fornali, a także do 1935 r. nie potrafiły wciągnąć służby chłopskiej do swych szeregów. Jeszcze i dziś są na Kujawach i gdzie indziej wsie, w których zamożni gospodarze gromadzą się w kołach S.L., Z.S.Ch i P.P.R-u, a ich parobcy stoją poza nawiasem życia politycznego. Jest to oczywiście ostatni etap elitaryzmu i izolacji. Nie przetrzyma on zmienionych warunków ustrojowych w dzisiejszej Polsce.

---

* Fragment ten pochodzi z przytoczonej już pracy Łukasza Kumora.

Franco Fortini

Życiorys włoskiego intelektualisty

Urodziłem się w 1917 r. Ojciec mój, adwokat, pochodzi z żydowskiej rodziny z Livorno, przybyłej do Włoch w 17-tym wieku; rodzina matki — to drobni właściciele ziemscy z Toskanii — przodkowie jej byli chłopami.

Ojciec mój jedyny z całej rodziny studiował na uniwersytecie; przeszedł z handlu i stanu urzędniczego do wolnego zawodu; walczył w młodym wieku w partii republikańskiej i był gorącym zwolennikiem Mazziniego. Zgłosił się jako ochotnik na wojnę z Austrią o Triest, o „biedną" Belgię, przeciwko „imperializmowi pruskiemu".

Od najwcześniejszego dzieciństwa nauczono mnie cenić „umysł", „sztukę" i „geniusz". Książek mieliśmy bardzo mało; żyło się skromnie, z dnia na dzień, z tego — co zarabiał w swym zawodzie mój ojciec. On to mówił mi często o Dantem Saint - Just *), nauczył mnie Marsylianki. Dziś jeszcze odczuwam dreszcz, słuchając jej.

W naszym mieście walka między „faszystami" a „czerwonymi" była wyjątkowo zażarta. Ojciec brał udział w procesach politycznych a ja byłem przeciwko faszystom. Kiedy ojca aresztowano miałem 8 lat. Pewnego wieczoru wrócił do domu z obandażowaną głową i zranioną szyją. W 1925 roku musiał uciekać, gdyż poszukiwali go faszyści.

W okresie szkolnym wszystko jakby się uspokoiło. Ojciec mój żył na uboczu, a wielu jego przyjaciół zostało faszystami. W szkole pod krucyfiksem, obok portretu króla wisiał portret Jego Ekscelencji Benito Mussoliniego, który przeszywał uczniów swymi bezmyślnymi oczami.

W domu życie było ciężkie; chodziliśmy w połatanych ubraniach i zajmowaliśmy małe mieszkanko, gdzie poza rodzicami nie widywałem nikogo. Nabożeństwo lub bilet na koncert były jedyną moją rozrywką. Od tego czasu świat w mych oczach tylko wtedy ma wartość, gdy może stanowić temat poetycki lub malarski. Przeżycie estetyczne było ucieczką przed rzeczywistością. Gdy miałem 15 lat, przyjaciółmi moimi byli ubodzy mieszczanie na granicy proletariatu; mieszkali w smutnych budynkach na przedmieściu. Florencja stanowiła dla nas miasto bajkowe, pełne niewysłowionego czaru; ale gdy mieliśmy 15 lat marzyliśmy o Paryżu i elektryzowały nas odkryte w miejskiej bibliotece publicznej nazwiska: — Modigliani, Rimbaud... Życie wokół nas uspokoiło się. Początkowo prawie wszyscy, a następnie wszyscy moi szkolni koledzy zapisali się do młodzieżowej organizacji faszystowskiej — Avanguardisti. Przez pewien czas ja jeden nie należałem do niej. Pewnego dnia profesor oznajmił mi, że pragnie porozmawiać z mym ojcem. Co do mnie kazał mi również przyjść w sobotę po południu i w niedzielę rano na zebrania. Zresztą i sieroty po adwokacie, zabitym przez faszystów, chodziły tam również. Konieczność pójścia była dla mnie torturą, lecz z tego jedynie powodu, że traciłem czas przeznaczony na naukę rysunków i literatury. Ale ojciec nie chciał mieć przykrości i zapowiedział, abym się nie spóźniał na te zebrania. Faszyzm? Nikt jeszcze nie wiedział, co to znaczy. Retoryczna nieokreśloność, mieszanina orłów rzymskich, imperialnych pieśni, przemówień wspominających rocznice narodowe — i ostatnie wydanie podręczników szkolnych, w których mówi się o chaosie powojennym i o Duce — restauratorze włoskiej wolności. W 1932 r. ojciec pojechał do Rzymu, gdzie zwiedził Wystawę Rewolucji Faszystowskiej. Pamiętam, jak po powrocie powiedział: „A jednak trzeba przyznać... olbrzymie osiągnięcia, odwodnienie, szkoły..." Kilkakrotnie zachęcano go, aby zapisał się do partii („Kto jest Włochem, ten jest faszystą"), lecz stale odmawiał. Nie mogłem dokładnie zrozumieć dlaczego — napewno wskutek czegoś w rodzaju tęsknoty za swą młodością. Parlamentaryzm, demokracja — ponure słowa, wystawione na pośmiewisko. Lecz nic oczywiście wzamian za to.

Czasami ojciec opowiadał o swej młodości, gdy była jeszcze „wolność". Ale to były blade obrazy, które nas nie interesowały. Jeśli prawie wszyscy moi przyjaciele mówili z pogardą o faszyzmie i wyśmiewali mowy Mussoliniego, czynili to z dumy intelektualnej i poczucia swej wyższości. Lecz nie posuwali się dalej. Większość moich kolegów stawiała sobie za najwyższy ideał „inteligencję" tzn. pewną bystrość psychologiczną, pewne przyzwyczajenie do instrospekcji. Ci, którzy nie dążą do tej „inteligencji" nie zasługują na uwagę, są nieobecni.

W roku 1935 Uniwersytecka Grupa Faszystowska wysłała mnie, mimo, iż byłem jeszcze w liceum, do Rzymu na „Lektoriat Kultury i Sztuki" — rodzaj corocznego narodowego konkursu między-uniwersyteckiego. Wróciłem z kiełkującym entuzjazmem dla wszystkiego, co ujęło mnie swą potęgą i uroczystością. Wybuchła wojna z Abisynią i przyszło skryte pragnienie zobaczenia co zajdzie, gdy Liga Narodów wystąpi. Lecz śmieliśmy się tylko z posiedzeń w Genewie, opisywanych przez gazety i z sankcji oraz z powolności i śmiesznej rozwagi demokracji. Kończyłem właśnie 18 lat, wstąpiłem na uniwersytet i uczęszczałem na kurs w Instytucie Sztuk Pięknych, wszedłem w inne środowisko, przebyłem skomplikowany kryzys religijny, zapałałem — czy też wydawało mi się, że zapałałem — szaloną i gwałtowną miłością do moich młodych towarzyszek. Gdy Włosi wkroczyli do Addis-Abeby i ogłoszono Imperium, po raz pierwszy odczułem prawdziwą przynależność kolektywną w wydarzeniach. Potężne zgromadzenia narodowe dla wysłuchania głosu Duce-Triumfatora, zbiórka złotych obrączek ślubnych przez kobiety włoskie 18.XI. 1935 r.; pierwsze oznaki stanu wojennego, który miał trwać tyle lat, olbrzymie tytuły w wieczorowych gazetach: Adonah Macalle, l'Amba Aradam, wszystko to silnie wstrząsnęło każdym z nas. Jednych w sensie czysto faszystowskim i patriotycznym, drugich jedynie pod wpływem fascynującej awantury, kolonialnej wojny.

Obracałem się w różnych środowiskach i wydawało mi się, że jestem nastrojony antymieszczańsko, ponieważ mogłem się uważać za wyzwolonego z moralności rodzinnej mimo, że żyłem właściwie z pracy mego ojca. Kilka lekcji, których udzielałem, starczało na książki i papierosy. Był to okres beznadziejnych kryzysów, gwałtownych rozdźwięków między nadmierną wrażliwością i umysłowymi uniesieniami. Wybuchła niezrozumiała dla nas wojna w Hiszpanii; instynktowna sympatia była po stronie „czerwonych", lecz faszystowska propaganda, opisy okrucieństw republikanów robiły swoje. To było dla większości spośród nas zupełnie chybione doświadczenie.

* * *

W pięć dni po rozpoczęciu wojny 1940 r. aresztowano mego ojca, jako „niebezpiecznego Żyda" i wysłano go, w kajdanach do obozu koncentracyjnego w Marches, skąd udało mu się jednak wydostać po czterech miesiącach. Lęk przed narażeniem się władzom wytworzył wokół nas pustkę. Tymczasem mobilizacja postępowała powoli. Ponieważ nie było przypływu ochotników spośród pracowników uniwersyteckich, faszyści wymyślili ponurą komedię: trzeba było prosić o honor walczenia przez partyjne organizacje studenckie. Studiującym nakazano, według stopni uczęszczać na Kursy, aby później mogli przyłączyć się do jednostek walczących. W czerwcu 1941 r. dostałem rozkaz udania się po instrukcje do Rzymu. Wtedy to straciłem kontakt ze środowiskiem antyfaszystowskim w moim mieście. Faszyzm osiągnął swój cel: opróżnił — uniwersytety, które były niebezpieczne i narzucił studentom dyscyplinę wojskową. W koszarach nikt już nie mówił o faszyzmie, stary bożek patriotyczny odzyskiwał młodość. Mówiono już tylko o sztandarze, o pułku, o honorze wojskowym. Mimo nieładu, dyscyplina cofnęła nas do czasu naszych ojców. U wielu z nas nutka patriotyzmu wzięła górę: wojna faszystowska była wojną narodową. Słowo „Ojczyzna" jeszcze wzruszało.

Dla całej naszej generacji doświadczenie z wojska stało się bardzo ważne: pokazało nam nędzę naszego ludu i kłamliwość potęgi faszystowskiej.

W tym czasie uzyskałem kontakt z antyfaszystami rzymskimi. Przeczytałem „Manifest", historię socjalizmu włoskiego, biografię Trockiego; prowadziłem długie rozmowy i dyskusje. Ale mój protest był jeszcze idealistyczny. Protest raczej religijny i moralny, jak prawie nas wszystkich. Ale zaczynałem już przeczuwać nowe rzeczy; w Rzymie były aresztowania wśród intelektualistów. Najmniejszy cień niepokoił władze wojskowe, przepełnione strachem. A zima mijała i Rosja była wciąż nieugięta. Zaczęto mówić, że wynik wojny jest niepewny. Zostałem mianowany oficerem i odkomenderowany do pułku, który właśnie wyruszał do Rosji. Kwatery znajdowały się między San Remo i Vintimille na Riwierze. Znów straciłem kontakt z antyfaszystami rzymskimi. W tym czasie nastąpiło lądowanie aliantów w Algerze i zaczęły się bombardowania pobliskiej Genui. Potem przyszła wiadomość o klęsce włoskiej w Rosji.

Dostały się też do San Remo pierwsze sprawozdania o okrucieństwach niemieckich w Polsce i w Rosji.

Wróciłem niedawno (1945) do Mediolanu, gdzie pracowałem w przeglądzie: „Il Politecnico", redagowanym przez Elio Vittozini. Równocześnie pracowałem w wielu innych dziennikach. Nie biorę już czynnego i bezpośredniego udziału w polityce, opierając się na przekonaniu, że jest koniecznym przede wszystkim starać się dobrze robić to, co się robić umie. Spośród moich dawnych przyjaciół prawie wszyscy walczą w partii komunistycznej, niektórzy w socjalistycznej, inni w partii czynu. Opublikowałem zbiór wierszy i piszę o poezji, o teatrze i o powieści. Zaślubiłem młodą dziewczynę, którą poznałem w Szwajcarii. Życie codzienne jest ciężkie, trudności gospodarcze wzmagają się, codzień wzrasta rozpacz spowodowana dwuznaczną sytuacją polityczną i chęć wyjścia z niej, a równocześnie świadomość, że nasze pokolenie nigdy nie będzie mogło wyzwolić się z poczucia zwyciężonego. Często myślę o opuszczeniu Włoch. Ponieważ obecnie nie mam zajęcia, chciałbym i być może będę uczył w szkole średniej, aby napisać dwie czy trzy książki, których plan mam już w głowie.

tłum. J. Romańska

*) Członek Konwentu, zginął na szubienicy wraz z Robespierrem, był jednym z jego zwolenników (1767—1794).



Bronisław Majtczak

WIERSZE *)

WE WSI MOJEJ

Zorany już po bombie lej
zielonym zboża kwitnie łanem,
stary Bartłomiej kaszle lżej
i barszcz pojada ze śmietaną...

Na gruzach chaty wyrósł dom,
radością płonie wzrok nam,
daleko biegnie droga stąd —
jaskółek świergot, słońce w oknach.

Ojciec Siwuice gładzi łeb,
babka kartofle śpiewem struże,
jak nigdy przedtem pachnie chleb —
aż Wojtuś śmiechem oczy mruży...

Co środę matka czyta list,
od Walka co się uczy na doktora,
a wieczorami słychać gwizd
kolei, co gna przez wieś nowym torem.

Wrzesień 1947.

OBRAZ

Na płótnie dali szkic zimy —
chat szarych rzędy a brzegiem
łańcuszek polnej brzeziny — —
wieś moja śród pól i śniegu...

Brązowa wieża kościółka
przeszłością krzywa
wraz z zepsutego zegara wskazówką
we mgle się rozpływa.

Mała wstążeczka zieleni
na ścianie nowego z cegieł domu —
szyld pierwszej we wiosce spółdzielni — —
a nad dachami kreseczki drutów — sieć
telefonu...

Dokoła wsi słupy — linia napięcia,
jak ramka srebrna obrazu, — —
w środku — — nie pałac, nie rezydencja —
lecz promieniami dróg z każdą chatą związany budynek gimnazjum.

Grudzień 1947.

MIEDZA

Trasa nóg spracowanych,
miejsce kurt starych i dwojaków...
Ojczyzna dumki wygrzanej,
ogródek głogów i krzaków.
Estrada cichych ligawek,
żytnia, robocza piosenka,
poduszka dojrzałej trawy,
spoczynku radość wielka.
Linia codziennej troski,
prząśniczka marzeń dobrych szczera,
ziemskiego globu skrawek wstążki, —
granica — kres — bariera — —
Echo sąsiedzkich sporów,
otwarty rozdział książki ziemi —
drabinka ciszy wieczoru
i szlaku gwiezdnych płomieni.

Sierpień 1947.

*) Wiersze zamieszczone wyżej pisał samouk chłopski, działacz społeczny. Bezpretensjonalna prostota jest świadoma i zamierzona przez autora, który chciałby być czytany przez chłopów i robotników. Bronisław Majtczak (ur. w 1914) pisze w swoim życiorysie:

„Od 14 roku życia, kiedy inni koledzy moi mogli uczyć się tylko, ja — z powodu niedostatków w rodzinie, musiałem zarabiać już na chleb. Pracowałem gdzie się tylko dało...

Zapomocą krótkich, nie męczących, jak najbardziej prostych wierszy osiągnąć pragnę nowe drogi, wyjść na świat z klasą swoją.

Sądzę, że prace takich piszących jak ja (a jest nas wielu) przygotowują również i podłoże dla „parnasu literackiego".

Autor zdaje sobie zapewne sprawę z tego, że jego „krótkie, nie męczące" wiersze są jak i utwory poetów „parnaskich" oparte na jakiejś tradycji i konwencji literackiej. W wierszach Majtczaka odnajdziemy echa Syrokomli, Konopnickiej, może Staffa. Świeże jest zbogacenie tradycyjnego pejzażu sielankowego — treścią nowych instytucji społecznych i kultury.



„O czym marzy De Gasperi? — wyrzucić chłopów na bruk i za ocean".
Ulotka przedwyborcza Frontu Demokratyczno-Ludowego we Włoszech.
(z chłopskiej gazety włoskiej „Nuova Terra" — Nr 11, 15 kwiecień).



Drzeworyt P. Pawlinowa

Bajarka Maria Kriwopolenowa (ur. w r. 1843)
(W r. 1916 liczyła 73 lata)

Leon Gomolicki

Folklor jako zagadnienie społeczne

1.

WYPOWIEDZI przedstawicieli myśli postępowej — Bielińskiego, Czernyszewskiego i Dobrolubowa zajmują odrębne miejsce w rozwoju folklorystyki rosyjskiej, który w XIX wieku odbywał się na ogół w ramach zachodnio - europejskiej nauki o sztuce ludowej. Oni to właśnie, nie zajmując się specjalnie folklorem, stworzyli owe żywe zasady, na których z czasem powstała folklorystyka radziecka. Główną cechą tych wypowiedzi było to, że traktowały twórczość ludową jak proces **żywy**, podkreślając jednocześnie jej pierwiastki **demokratyczne.**

Za czasów Bielińskiego słowianofile — zwolennicy „oficjalnej narodowości" szukali w poezji ludowej przede wszystkim odgłosów dawnej przeszłości historycznej. Zwalczając ich poglądy, Bieliński pierwszy zwrócił uwagę na to, że poezja ludowa nie jest wartością muzealną, że lud nie tylko ją przechowuje, lecz wciąż tworzy, interpretując dawną tradycyjną treść zgodnie ze swoim doświadczeniem życiowym. Tym samym w folklorze odzwierciedla się życie i pogląd na świat współczesnego chłopa. Na tej podstawie Bieliński zwracał uwagę na realne zainteresowania i dążenia mas ludowych, które znalazły wyraz w folklorze, a szczególnie na przejawy protestu socjalnego i nastrojów rewolucyjnych.

W połowie XIX wieku w liberalnych kołach zwolenników Zachodu było rozpowszechnione ujemne ustosunkowanie się do poezji ludowej. Powodem tej niechęci był fakt, że słowianofile różnych, nawet najbardziej reakcyjnych odcieni, nadużyli w polemikach argumentów czerpanych z folkloru. Odrębne stanowisko w tych dyskusjach zajęli przedstawiciele demokracji rewolucyjnej z Czernyszewskim, Dobrolubowem i Niekrasowem na czele. „Jeżeli jeszcze istnieje na świecie poezja — pisał Dobrolubow — należy szukać jej wśród ludu". Nie idealizując ogólnikowo folkloru jako całości, Dobrolubow chciał widzieć w twórczości ludowej wyraz świadomości i światopoglądu ludowego.

Gdy Afanasjew wydał swój zbiór baśni ludowych, Dobrolubow wskazał na formalny, „akademicki" stosunek folklorystów do zbieranego przez nich materiału. „Nie wolno poprzestać na tej pracy, — pisał krytyk, — wydając utwory podchwycone wprost z ust ludu". Czytając baśń chciał wiedzieć nie tylko, w jakim powiecie została ona zanotowana, lub który skolei wariant znanego tematu stanowi. Ciekawił go przede wszystkim **stosunek ludu do opowiadanych przez niego baśni i legend.** „Dlatego, — dodawał, — wydaje się nam, że każdy zbieracz utworów ludowych osiągnąłby największy pożytek, gdyby nie poprzestał na zwykłym notowaniu tekstu bajki lub pieśni, lecz przekazał **wszystkie okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne, psychologiczne, w których udało mu się usłyszeć tę pieśń lub bajkę".**

Przedrewolucyjna historia folklorystyki przemilczała te wypowiedzi **o intencjach społecznych i politycznych.** Niemniej stanowią one poniekąd program dalszych badań nad twórczością ludową. Na przykład jeden z mało znanych historyków rosyjskich, Pryżow powziął zamiar napisania historii pańszczyzny oraz prądów wolnościowych w Rosji na podstawie materiału folklorystycznego. Zamiar ten udaremniło zesłanie. Drugi demokrata rewolucyjny Chudiakow napisał szkic publicystyczny o światopoglądzie ludowym na podstawie folkloru. Najbardziej interesowało go odzwierciedlenie w folklorze protestu socjalnego, pierwiastki satyry klasowej i motywy ruchów wolnościowych. Zebrane przez Chudiakowa baśnie satyryczne o zabarwieniu klasowym zostały zniszczone po aresztowaniu go przez żandarmów carskich.

Obok teoretyków demokratów wybitną rolę odegrali praktycy folkloryści, zbieracze pieśni i baśni ludowych, którzy pierwsi zwrócili specjalną uwagę na osobę **bajarza i pieśniarza ludowego.** Byli to Paweł Rybnikow (1832—1885) i Aleksander Gilferding (1831—1872). W swoich zbiorach folkloru zastosowali oni po raz pierwszy w folklorystyce europejskiej podział materiału według bajarzy, nie pieśni. Gilferding wykazał, jaki wpływ na poezję epicką **miała przyroda, warunki socjalne i praca chłopów północnych dzielnic Rosji.** W tych dzielnicach bowiem, w b. gubernii Ołonieckiej Rybnikow i Gilferding odkryli największy rezerwat epickiej poezji narodowej. W ten sposób foklorystyka rosyjska wychodząc z założenia metody społeczno-demokratycznej dotarła do **żywego odtwórcy** pieśni historycznych, stworzonych w okresie od X do XVI w. i przechowanych przez całe rodziny bajarzy ludowych.

W 60—70-ch latach powiększa się ilość publikacyj folkloru. Zbiory poprzedzają rozprawy, gdzie omawiane są przyrodnicze i ekonomiczne warunki, w których przechowują się tradycyjne formy poezji ludowej, oraz podawane są coraz bardziej szczegółowe biografie bajarzy.

2.

Pierwszym znanym bajarzem klasycznym, odkrytym przez Rybnikowa, był Trofim Riabinin. „Próg chałupy przestąpił średniego wzrostu staruszek, silnie zbudowany, — opowiada Rybnikow o swoim pierwszym spotkaniu z bajarzem. — Miał siwą niewielką brodę i żółte włosy. Jego srogie spojrzenie, postawa, ukłon, krok, sposób zachowania się i wygląd zdradzały spokojną i opanowaną siłę". Powaga ta świadczyła o szacunku, którym otoczenie darzy zdolności odtwórców eposu ludowego. Sztukę swoją Trofim Riabinin przekazał synowi Iwanowi, którego imię zyskało rozgłos w całej Rosji. Występował on w 90-ciu miastach i wyjeżdżał za granicę. W domu pozostawał zwykłym rybakiem znad jeziora Onegi. W czasie reperowania sieci śpiewał i uczył bajania dzieci. Po nim zdolności bajarza odziedziczył jego pasierb Iwan Riabinin - Andriejew, który skolei przekazał je swemu synowi. Obserwacja czterech pokoleń odtwórców eposu ludowego dała badaczom możność wnioskowania o stopniowym zanikaniu tej jedynej w swoim rodzaju tradycji.

Zanim Piotr I „przebił przez Bałtyk okno na Zachód", główną drogą tranzytową łączącą Rosję ze światem była droga przez kraj Ołoniecki i morze Białe. Wówczas tętniło tu życie, przewijały się tłumy, szły karawany kupieckie. Tłumaczy to szybki rozwój kulturalny północnych kresów Rosji Europejskiej, który zatrzymał się raptownie w tym czasie, kiedy reszta państwa właśnie weszła w okres reform. Tłumaczy to również fakt że dotarły tu legendy o Kijowie i Nowogrodzie. Do utrwalenia tradycyj pieśniarskich przyczynili się rosyjscy meistersingerzy, „skomorochy", którzy prześladowani przez kościół prawosławny szukali ukrycia w północnych dzielnicach kraju. Ich sztukę bajania naśladowały rodziny chłopskie. Skracała ona czas w długie miesiące północnej zimy i towarzyszyła w pracy. Ekipy rybackie specjalnie angażowały bajarzy, którzy udawali się razem z nimi na połów, dostając większą zapłatę niż reszta rybaków.

Obok rodzin, w których zdolności bajania przechodzą w linii męskiej, w Rosji istnieją rodziny uzdolnionych kobiet - bajarek. Do takich rodzin należy na przykład pochodząca z nad morza Białego rodzina Kriukowów. Z innych pieśniarek warto wymienić Kriwopolenową, która śpiewała pieśni heroiczne prosząc o jałmużnę. Odkryła ją i przywiozła do Moskwy artystka Ozarowska. Kriwopolenowa miała wówczas ponad 70 lat. Występy jej wkrótce zyskały wielki rozgłos. W drugiej połowie XIX wieku znana była wykonawczyni „bylin", które sam lud nazywa „starinami", oraz żałobnych pieśni ślubnych, pogrzebowych i rekruckich Fedosowa. Była ona rówieśnicą Puszkina, śpiewała swoje pieśni Niekrasowowi, który wyzyskał je w swoim poemacie „Komu w Rosji dobrze". W 1896 r. Fedosowa, wówczas 98-letnia staruszka, występowała na targach w Niżnym Nowogrodzie. Wśród publiczności znajdował się Maksym Gorki. Wrażeniom z tego występu Gorki poświęcił dwa artykuły ogłoszone w gazetach. Po trzydziestu latach opisał śpiew Fedosowej w pierwszej części powieści „Życie Klima Samgina".

„Już od dawna, — pisał Gorki, — nie miałem tak silnego przeżycia. W czystej sali koncertowej pachnącej smołą świeżego drzewa z początku było nudno". Występ zapowiadał nauczyciel gimnazjum Ołonieckiego, który „zaznajamiał Rosję z jej niepiśmienną ale prawdziwą poetką".

„Oryna od czternastego roku życia odtwarzała pieśni żałobne—mówił.—Z jej słów zanotowano przeszło 30.000 wierszy, gdy „Iliada" Homera liczy ich tylko 27.815".

„— Oryna Andriejewna! — krzyczy nauczyciel. Uchylają się drzwi i z podium kłania się publiczności staruszka niskiego wzrostu, krzywa, siwa, w białej chustce perkalowej, czerwonej bluzce i brązowej spódnicy. Na nogach ma ciężkie wysokie buty. Twarz cała w zmarszczkach, smagła... Ale oczy — zdumiewające! Szare, jasne, żywe — iskrzą się rozumem, uśmiechem i jeszcze czymś, czego nie można spotkać w spojrzeniu przeciętnego człowieka i co nie da się określić słowami... Wszyscy są wpatrzeni w małą staruszkę, która siedzi zatopiona w fotelu, nachylona w stronę publiczności... piękna i szlachetna, a tym bardziej uszlachetniona natchnieniem, śpiewa modulując głos, gestykulując wyschniętymi, małymi rękoma... Salę wypełniają powiewy starożytności. ...Publiczność odpowiada burzą oklasków na cześć półmartwego człowieka, który wskrzesza ostatnimi siłami ducha martwą dawną naszą poezję..."

3.

Gorki tym bardziej był wrażliwy na przejawy twórczości ludowej, że od dzieciństwa przez całą swoją młodość żył wśród żywiołu folklorystycznego. Babka pisarza A. Kaszyrina była odtwórczynią pieśni religijnych i historycznych. Sam Gorki w młodości naśladował jej sztukę. Wśród flisaków nadwołżańskich, robotników i włóczęgów, podczas swoich pieszych wędrówek wzdłuż Ukrainy, wybrzeża morza Czarnego i Kaukazu, stykał się on z żywą pieśnią ludową, nieraz improwizowaną, lub interpretowaną przez prostych ludzi. Gorki wcześnie zaczął notować te pieśni i wyrobił sobie przekonanie o żywotności folkloru, o jego socjalnych funkcjach i znaczeniu rewolucyjnym. Spostrzeżenia te skonkretyzowane w późniejszych pracach Gorkiego stanowią dalszy etap w szeregu wypowiedzi o twórczości ludowej demokratów rewolucjonistów, poczynając od Bielińskiego, Czernyszewskiego, Dobrolubowa.

„Folklor jest duszą ludu" mówił Gorki. Aby zrozumieć duszę ludu, zdaniem Gorkiego, należało pogłębić i prawidłowo uzasadnić nową budowę życia ludowego. Pod tym względem myśl Gorkiego nie różniła się od myśli o folklorze Lenina, który mówił po przejrzeniu kilku zbiorów folklorystycznych:

— „Przerzuciłem pobieżnie te książki i dostrzegam oczywisty brak rąk lub chęci, aby wszystko to połączyć, zrewidować z punktu widzenia społeczno - politycznego. Przecież posługując się tym materiałem można napisać wspaniałą rozprawę o nadziei i oczekiwaniu ludu... Oto co powinno zwrócić uwagę naszych historyków literatury. Jest to istotna twórczość ludowa, tak niezbędna i ważna obecnie dla zbadania psychiki ludu".

Te wypowiedzi dają początek nowemu okresowi folklorystyki rosyjskiej. Po rewolucji Gorki w szeregu artykułów i przemówień zachęca pisarzy i naukowców do badania i zrewidowania dorobku twórczości ludowej, oraz do zbierania nowych materiałów folklorystycznych. Do ożywienia zainteresowania folklorem przyczynia się nowe pokolenie specjalistów, wychowane na teoriach lingwisty marksistowskiego, członka Akademii Nauk prof. Mikołaja Marra. Przede wszystkim zostały zmienione same metody zbierania utworów ludowych. Obecnie główną intencją zbieraczy stają się próby **uchwycenia dynamiki folkloru,** jego **stałej zmienności, uzależnionej od zmian warunków życia społeczno-gospodarczego.** Poza tym w polu widzenia nowych badaczy znajdują się nowe zjawiska rzeczywistości porewolucyjnej.

W w. XIX i początkach XX mimo zainteresowania inteligencji bajarzami, których odkrywano i pokazywano na estradach miast, jako rzadkość zanikającej sztuki ludowej, sztuka ta była pogardzana i nawet prześladowana przez administrację prowincjonalną i kościół, od czasu do czasu odświeżający tradycje prześladowań skomorochów. Jeszcze w 30 latach XIX wieku za panowania „oświeconego" monarchy Aleksandra I w Niżnim Nowogrodzie został skazany na publiczną chłostę kowal Semen Nieczosa za wykonanie „odrażających" pieśni o wojnie z Napoleonem. W ten sposób wynagradzano knutem żywą reakcję ludu na wydarzenia historyczne. Nawet te utwory ludowe, którym udało się przedostać do repertuaru chórów, organizowanych przez dziedziców z chłopów pańszczyźnianych, lub do śpiewników, drukowanych specjalnie dla ludu, a nawet do naukowych zbiorów etnograficznych, przechodziły przez cenzurę, która eliminowała pierwiastki społeczne i satyryczne, wszelkie przejawy żywego odruchu i ustosunkowania się do rzeczywistości. Mimo to „od czasów głębokiej starożytności, — jak pisał Gorki, — folklor rosyjski nieodłącznie towarzyszył rozwojowi wypadków historycznych. Tylko **ustna twórczość ludowa** może dać prawdziwe pojęcie o historii ludu pracującego". W procesie tym wielka rewolucja rosyjska stała się bodźcem wyzwalającym i nadającym właściwy kierunek siłom twórczości ludowej. W 1918 roku Lenin pisał w artykule „Podstawowe zadanie naszych dni" o jej „pięknym rozmachu", spowodowanym wstrząsem rewolucyjnym.

Opierając się na założeniu żywotności folkloru Gorki wszczął energiczne kroki aby pobudzić lud do twórczości. Wśród gigantycznych swych planów wydawniczych, projektował wielotomową historię rewolucji, którą by **napisał sam lud.** W tym celu wydawał do ogółu odezwy z prośbą notowania **indywidualnego i zbiorowego swoich wspomnień z dni przewrotu i wojny domowej.** Zasada pracy zbiorowej, heroizm połączony z realizmem, jako główne cechy twórczości ludowej były szczególnie bliskie twórcy realizmu socjalistycznego.

4.

W 1931 roku Gorki pisał: „Musimy stanowczo uznać i zapamiętać, że artystyczna twórczość mas, **nie znikła,** nie została zniszczona przez stulecia katorżnej niewolniczej pracy. Zdolność mas pracujących do obrazowej twórczości słowa powstaje i powinna powstać, ponieważ rewolucja wyzwala człowieka nie tylko pod względem społecznym i materialnym, lecz również pod względem emocjonalnym i intelektualnym".

Słowa te sprawdziły się na przykładach bajarzy ludowych, którzy pod wrażeniem wydarzeń historycznych nie zadowolili się odtwarzaniem starych pieśni, odziedziczonych po ojcach i matkach, lecz zaczęli tworzyć nowy epos rewolucyjny. Wspominałem już o rodzinach odtwórców „starin" Riabininów i Kriukowów. Współcześni ich przedstawiciele: kołchoźnik z rodzimej wsi Garnice Kiżskiego rejonu, Piotr Riabinin-Andriejew i Marta Kriukowa chłopka z wybrzeża morza Białego, pierwsi zaczęli tworzyć śpiewy o bohaterach rewolucji i jej wodzach, nazywając nowe utwory ustne „nowinami".

Piotr Riabinin-Andriejew bardziej przejęty tradycjami eposu historycznego, stworzył swoją „nowinę" o Czapajewie, posługując się szablonami pieśniowymi, które powstały w okresie Rusi Kijowskiej. Nie bardzo to wiązało się z nową treścią. Natomiast Marta Kriukowa znalazła swoistą formę epicko-liryczną, łącząc historię z żywą reakcją uczuciową na wypadki dziejowe. Tak zostały stworzone przez bajarkę „nowiny" o Stalinie, o Leninie, o wyprawie na biegun północny, o bohaterach wojny domowej i budownictwa socjalistycznego, wreszcie sławna w Związku Radzieckim pieśń żałobna o śmierci Lenina.

Radziecka polityka kulturalna popierająca i organizująca twórczość ludową, szczególną uwagę zwraca na przejawy twórczości ustnej. Nie mówię tu o wyprawach badaczy i licznych edycjach folkloru, mam na myśli w danym wypadku tę troskliwą opiekę, którą otacza państwo i społeczeństwo współczesnych producentów folkloru. Pisarze radzieccy opiekują się nimi fachowo, dostarczają lektury, wskazówek, organizują wycieczki i towarzyszą im w podróżach.

Gdy Marta Kriukowa wyraziła chęć ułożenia „nowiny" o Stalinie, związek zawodowy pisarzy umożliwił jej wycieczkę do Gruzji. Ze skrajnej północy, znad morza Białego, poetkę ludową przeniesiono jak w bajce do kraju dojrzewających pomarańczy, plantacyj herbaty, szafirowych górskich rzek i ciepłych powiewów od morza Czarnego. Tu w rodzimym kraju Stalina powstał utwór liryczno-epicki przełomowy w historii żywego folkloru rosyjskiego. Liryczne poematy Kriukowej są jednym z przykładów wpływu przewrotu społecznego na twórczość ludową. Rewolucja Październikowa wyzwalając siły narodu rosyjskiego, odrodziła m.in. i dawne tradycje poezji ustnej, które przetrwały noc pańszczyzny i ucisku ustroju burżuazyjnego. Nowa treść wypełniła dawne jej formy, rozsadzając je i zbliżając do form literackich. Obecnie, kiedy bajarze zaczynają utrwalać swoje „nowiny" na piśmie, a liryczne ich poematy rozpowszechnia w stutysięcznych nakładach prasa drukarska, termin „poezji ustnej" zanika w swoim dawnym znaczeniu jedynego przejawu poezji ludowej. Od roku 1938 najbardziej zdolni spośród bajarzy są członkami rzeczywistymi Związku Literatów Radzieckich. Tym samym twórczość ich została ujęta w ramy ogólnego ruchu literackiego.

Listy z Zachodu

Józef Czerni

SZCZECIN

NIEŁATWO jest pisać o życiu Szczecina, gdzie wszystko rozwija się w błyskawicznym i — chciałoby się powiedzieć — amerykańskim tempie. To co jeszcze onegdaj było nowością, o czym rozpisywano się jeszcze wczoraj — dziś jest już nieaktualne, dalekie, prawie dziecinne. Każdy dzień przynosi zmiany i postęp. Rozrasta się jak na drożdżach port, rozbudowuje się przemysł, rozszerza się sieć komunikacyjna, powiększa się liczba mieszkańców.

Szczecin bez przedmieść liczy obecnie przeszło 140 tys. ludności. Te tysiące jakoś przecież żyją.

W tej krótkiej korespondencji chciałbym poruszyć sprawy życia kulturalnego naszego miasta. Dużo już na ten temat pisano. Szczecińskie pióra nie próżnują.

PERSPEKTYWA KULTURALNEJ AKTYWIZACJI

Koniec 47 r. minął pod znakiem fermentu. Zaczęło się oczywiście od prasy. Fr. Gil, objąwszy na krótko stanowisko kierownika literackiego Teatru Polskiego, zaatakował swoją korespondencją w „Odrodzeniu" kulturalną i literacką politykę Szczecina. W miejscowym dwutygodniku „Szczecin" (Nr 47—48) zareagował na to żywo T. Karpowicz, występując z wielką mową obrończą pt. „Szczecin literacki pod Gil-otyną". I tak zakotłowało się na szczecińskim bruku. Od wrześniowych dni III Zjazdu Przemysłowego i chwili ostatecznego przejęcia portu z rąk radzieckich — Szczecin po raz pierwszy jakby ożył i „zdynamizował się" kulturalnie poprzez ostre pióra publicystów. Nawiązano kontakty z pisarzami. W tym samym mniej więcej czasie goszczą w mieście Gałczyński i Broniewski. Przybywa także z prelekcją K. Koźniewski. Klub Literacko-Artystyczny „Czytelnika" organizuje na dodatek burzliwy wieczór dyskusyjny, który zagaił St. Telega referatem pt. „O nowe oblicze kulturalne Szczecina". Sam charakter dyskusji był jednym z dowodów, że na tym odcinku zbyt wiele jest jeszcze do zrobienia. Wypowiedzi prezydenta miasta inż. P. Zaremby miały weselszą nutę. Rok 1948 ma bowiem przynieść teatrom dotację 600 tys. zł a miastu zalążek uniwersytetu. Chodzi mianowicie o przeniesienie z Lublina uniwersytetu im. Curie-Skłodowskiej. Na razie tylko wydziału medycyny. Oprócz tego budżet miasta uwzględnia pozycję 200 tys. złotych za monografię Szczecina i 420 tys. zł na konkursy literackie. Należy także wymienić pierwszy konkurs literacki Szczecina na utwór marynistyczny ogłoszony w styczniu w tygodniku „Szczecin". Zwycięzcę konkursu czeka nagroda 50 tys. zł, które wyasygnował również Zarząd Miejski. Nie potrzeba podkreślać, że te wszystkie fakty otwierają nowe perspektywy kulturalne dla nadodrzańskiego przyczółka.

GEOGRAFIA KULTURALNA

Szczecin posiada ogółem około 12 przedszkoli, 20 szkół podstawowych, 7 typu średniego, Akademię Handlową (2 tys. stud.), Wyższą Szkołę Inżynierii, która z czasem rozwinie się w politechnikę oraz Państwową Szkołę Morską, nie mówiąc o licznych szkołach zawodowych. To jest podstawa, na której się zwykle bazuje.

Jeśli chodzi o teatry należy wymienić rozwijający się coraz lepiej Teatr Polski, który posiada teraz już 2 sceny (tzw. Scena duża i Scena mała), następnie Teatr Mały, wreszcie STO (Szczeciński Teatr Oświatowy pod kier. M. Bogusza) oraz niezwykle aktywny Teatr Kukiełek „Czarodziej" pod kier. Ireny Lipień-Kotlińskiej. Ostatnio zaczął się żywiej ruszać Klub Literacko-Artystyczny, który już zorganizował szereg wieczorów autorskich. Wysunął on projekt zebrania w drodze składek sumy 250 tys. zł na tzw. Społeczną Nagrodę Artystyczną za działalność na terenie literatury, muzyki i sztuk plastycznych. Obok klubu „Czytelnika" powstał także nowy Klub Inteligencji. Jeśli chodzi o prasę miasto posiada już 3 dzienniki oraz pismo literackie „Szczecin", które z dwutygodnika zmieniło się w styczniu br. na tygodnik, zdradzając poważne tendencje podniesienia poziomu, zbogacenia tematyki i rozszerzenia zespołu współpracowników. To jest już wiele jak na początek. To jest jednak bardzo mało jak na apetyt kulturalny 140-tysięcznej rzeszy, zebranej z całego świata.

PISARZE SZCZECINA

Zanim jeszcze polski i radziecki bagnet zdołał opanować Szczecin, pióro naszego pisarza już karczowało teren Naodrza. W mrokach okupacji powstawały takie epopeje regionu jak „Saga o Jarlu Broniszu" Grabskiego, „Dzikowy Skarb" Bunscha czy „Bolesław Chrobry" Gołubiewa.

Po wojnie zaś rozwinęła się praca w zakresie naukowo - publicystycznym. Ukazały się książki St. Helsztyńskiego, St. Srokowskiego i szereg wydawnictw Instytutu Zachodniego. W dziale prozy wyszedł zbiór felietonów „Pod znakiem Gryfa" W. Lachnitta oraz w ostatnich dniach „Legendy Pomorskie" T. Karpowicza. W poezji natomiast ziemia szczecińska jest jeszcze niezdobyta. Nie licząc tomiku J. Wierzbickiego z okresu Młodej Polski, (który np. umieszczał Stargard nad morzem), poeci jeszcze nie wypowiedzieli się o tym regionie. Przerzucenie pomostu między odległą bohaterską przeszłością a dniem dzisiejszym, zobrazowanie współczesnego osadnictwa i samego procesu społecznego scalania się na tej ziemi, wreszcie problemy marynistyczne — to są ugory czekające na pług pisarskiego trudu. O sprawach tych dość wnikliwie i ciekawie mówił niedawno St. Telega na pierwszym „Wieczorze Autorów Szczecińskich", zorganizowanym przez Klub Literacko-Artystyczny „Czytelnika" 8 kwietnia br. Wystąpili na nim Maria Boniecka, Julian Borzym, Tymoteusz Karpowicz, Walerian Lachnitt, Jan Papuga i Witold Wirpsza. Są to nazwiska młode, ale rokujące dobre nadzieje. Niewątpliwie na czoło ich wysuwa się twórczość J. Borzyma, T. Karpowicza i W. Lachnitta.

Pomału więc Szczecin przestaje być kulturalnym zaściankiem. Tworzy się społeczeństwo Nadodrza a razem z nim powstaje nowe środowisko literackie. Są to jeszcze pierwociny, ale w nich składa się na razie cały kapitał zaufania.

GŁÓD KSIĄŻKI

Kiedy jesienią 1946 r. osiedliłem się na stałe w Szczecinie, interesowała mnie jedna sprawa — książki... Pamiętam — wybrałem się na Dworcową do Biblioteki Miejskiej, chcąc zorientować się w katalogu i w dziale teorii literatury. Byłem wtedy jeszcze jednym z nielicznych, którzy szukali naukowej lektury w języku niemieckim. Dyrektor biblioteki okazał się nadzwyczaj uprzejmy i usłużny. Osobiście zaprowadził mnie do czytelni, zorientował w systemie katalogu i zostawił samego w dużej sali między książkami. Cisza zapełnionych półek nastrajała do pracy. Wlazłem w bibliografię. Zasmakowałem. Zacząłem notować. W styczniu tego roku wpadłem znowu. Personel już się powiększył. Dyrektor Siadkowski przyjmuje w swoim skromnym gabinecie, zastawionym jakimiś starymi atlasami, stosami inkunabułów i białych kruków. W gabinecie zimno. — Zapytuję z miejsca o sprawy biblioteki. Otrzymuję krótkie i rzeczowe dane. Księgozbiór niemiecki liczy 240 tys. tomów, z czego 100 tys. o charakterze archiwalnym zalicza się do tzw. „Muzeum Książki". Jeśli chodzi o czynną obecnie wypożyczalnię liczy ona ok. 7 tys. polskich pozycji. Poza tym w oprawie i w trakcie katalogowania znajduje się jeszcze ok. 3 tys. tomów. Słowem razem biblioteka posiada ok. 10 tys. polskich książek! Ostatnio w okresie wielkanocnym odwiedziłem znowu dyr. Siadkowskiego. Z miejsca pochwalił się przede mną solidnym zakupem. Cyfra 10 tys. zwiększyła się o 2 tys. nowych pozycji. W obiegu według słów dyrektora znajduje się zwykle 5/6 księgozbioru, co oczywiście w normalnych warunkach jest niedopuszczalne. Biblioteka posiada dotychczas tylko jedną filię, ale wkrótce otworzy się kilka nowych na peryferiach miasta, gdyż Zarząd Miejski dał pierwszy poważniejszy zastrzyk pieniężny w postaci 2 milionów zł. Pracy dużo — mówi dyr. Siadkowski — ludzi fachowych mało. Personel robi często błędy. Ale możliwości rozwoju są wielkie. Potrzeba tylko zrozumienia i pomocy. Wykorzystując w pełni budynek, biblioteka może pomieścić ok. 400 tys. tomów czyli zdolna jest przyjąć jeszcze nowych 150 tys. Nowoczesny magazyn biblioteki przypomina bibliotekę uniwersytecką w Poznaniu czy w Krakowie.

Następnie dyr. Siadkowski pokazuje mi wykresy rozwoju księgozbioru i krzywą czytelnictwa. Potem oglądamy pierwsze druki z drugiej połowy XV w. Dyrektor otwiera duży oprawny w deski obite skórą pierwszy mszał z Kamienia (...Caminensis), pochodzący niemal z połowy XV w. a więc 15—20 lat po wynalezieniu druku.

W zamyśleniu opuszczam gmach biblioteki. Niewyzyskany materiał czeka pod troskliwą opieką na swoich odkrywców. Prawda, trzeba jeszcze wspomnieć, że oddział Instytutu Bałtyckiego organizuje bibliotekę naukową poświęconą problematyce Pomorza i krajów nadbałtyckich. Ma być na początek ok. 16 tys. tomów. I to jest wszystko. O prywatnych wypożyczalniach nie piszę, gdyż te obliczone na zysk karmią czytelnika niemal wyłącznie aktualną beletrystyką.

A równocześnie 140 tys. mieszkańców woła natarczywie o polską książkę...

ALMA MATER STETINENSIS

Dyskusje dotychczasowe na tematy kulturalne miasta nad Odrą poruszały albo sprawę planowania, organizacji, albo sprawę tematyki twórczości literackiej czy kulturalnej w ogóle. Nic dziwnego, że nie znaleziono wyjścia. Zapomniano bowiem o człowieku. Sami organizatorzy ani ich artykuły nie zmienią sytuacji. Zmieni ją tylko człowiek o ambicjach kulturalnej twórczości, związany z Nadodrzem i doń przywiązany. Takiego człowieka trzeba dopiero wychować. A w tym celu trzeba stworzyć samowystarczalny ośrodek twórczości kulturalnej i naukowej. I nic lepiej takiej roli nie spełni jak tylko pełny uniwersytet.

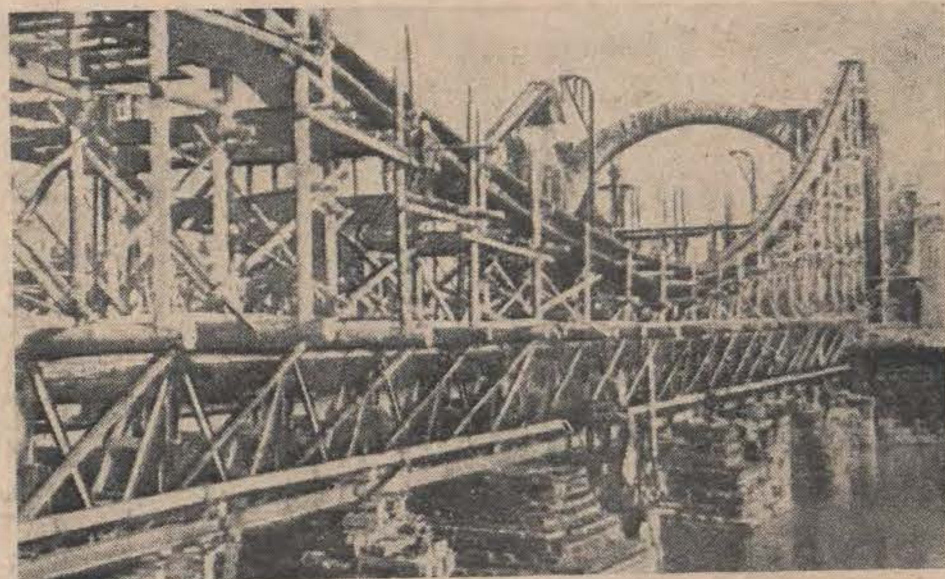
Jeśli przeciągniemy linię od Gdańska przez Toruń, Poznań aż do Wrocławia, to zobaczymy, że cały wielki północny Zachód nie ma właściwie uniwersytetu. A przecież każdego roku wychodzą z zachodnio-pomorskich gimnazjów nowe zastępy absolwentów, z których część najlepszą zabiorą inne ośrodki akademickie. Tu statystyka cyfrowa odkryłaby ciekawe problemy. Iluż szczeciniaków np. studiuje obecnie w Toruniu, Poznaniu lub nawet w Lublinie. A jaki z nich procent wróci do miasta, gdzie może teraz mieszkają ich rodzice czy krewni?...

O FUNDAMENTY

Sprawa jest poważna i dlatego nie może się zmieścić w ramach dyskusji na tematy celowości bieżącego repertuaru teatralnego czy wartości jednorazowych imprez oświatowo-kulturalnych. Chodzi bowiem o stworzenie trwałego i atrakcyjnego ośrodka kulturalnego, ściągającego najlepsze siły z całego terenu Zachodniego Pomorza.

Chodzi nie o sprowadzenie trzech literatów więcej czy napisanie książki lub nowej monografii miasta, ale o stworzenie warsztatu pracy kulturalnej dla rosnącego pokolenia. Rozwiązanie jest tylko jedno. Przyniesie je zwycięska walka o książkę i walka o pełny uniwersytet z wydziałem humanistycznym włącznie.

Wtedy dopiero życie kulturalne Szczecina dogoni i zrówna się z tempem jego gospodarczego rozwoju.



Fot. Lambach — Film Polski.

Odbudowa mostu grunwaldzkiego na Odrze we Wrocławiu.

Władysław Leszczyński

WROCŁAW

Cztery działające na tutejszych wyższych uczelniach organizacje akademickie ZNMS, AZWM, Wici i ZMD nawiązują coraz bliższe kontakty, których rezultat może być tylko jeden: — jedna i jednolita organizacja studencka.

Pokusimy się tu o krótki fragmentaryczny przegląd dotychczasowej pracy i osiągnięć na terenie, wchodzącym w zakres oddziaływań ideowo - wychowawczych akademickich organizacji.

Akcją o największym znaczeniu było zorganizowanie dla młodzieży chłopskiej i robotniczej nieposiadającej matury—kursów przygotowawczych na wyższe uczelnie wrocławskie. W skali ogólnokrajowej inicjatywa zorganizowania powyższych kursów wyszła ze strony ZNMS-u i AZWM-u. Na terenie wrocławskim pracę nad ich uruchomieniem i troskę o ich normalne funkcjonowanie przejął student III roku polonistyki, członek AZWM Życie — Woodrow Januszewski (od ich założenia, t. zn. od czerwca 1946 roku, pełniący obowiązki dyrektora kursów). Otworzono w bieżącym roku akademickim trzeci już z kolei kurs przygotowawczy.

Akcja informowania o kursach przeprowadzana była przez partie polityczne, organizacje młodzieżowe i związki zawodowe. Rekrutacji dokonywano przy pomocy i za pośrednictwem Związków Zawodowych w miasteczkach i Związku Samopomocy Chłopskiej na wsi. Warto prześledzić ilość słuchaczy, ich pochodzenie społeczne, przynależność organizacyjną i stopień wykształcenia przy wpisywaniu się na kurs.

Dane odnoszące się do pierwszego i drugiego kursu dotyczą tylko ilości słuchaczy. Na kurs I w 1946 r. zgłosiło się 480 osób, chodziło 200, przystąpiło do egzaminu 83, a poszło na uniwersytet, na rok zerowy 49. Reszta z tych 83 na skutek słabych wyników naukowych skierowana została do normalnego liceum. Selekcja została przeprowadzona surowo i wciąż wysuwane obiekcje przeciwko dopuszczaniu na uniwersytet „tych bez matury" nie wydają się mieć uzasadnienia. Ostatecznym czynnikiem decydującym o ich utrzymaniu się na wyższych uczelniach będą przecież wyniki naukowe.

W r. 1947 na 2-gi kurs przygotowawczy zgłosiło się osób 450, chodziło 250, do egzaminu dopuszczono 163, poszło na „zerówkę" 152.

Dane, dotyczące 3-go kursu przygotowawczego ilustrują skład społeczny i informują szczegółowiej o młodzieży kursowej. Na kurs trzeci zgłosiło się 375 osób, a po trzytygodniowym kursie selekcyjnym pozostało 300 osób.

POCHODZENIE SPOŁECZNE KANDYDATÓW PRZEDSTAWIA SIĘ — JAK NASTĘPUJE:

Robotnicy	65%
Chłopi	31%
Urzędnicy	4%

PRZYNALEŻNOŚĆ ORGANIZACYJNA:

Z. W. M.	35,0%
O. M. T. U. R.	21,6%
Wici	5,6%
Z. M. D.	0,6%
Zw. Os. Wojsk.	0,6%
Z. U. W. Z.	0,6%

PRZYNALEŻNOŚĆ PARTYJNA

P. P. R.	25,5%
P. P. S.	9,5%
S. L.	1,3%

PRZYGOTOWANIE KANDYDATÓW

szkoła powsz. nieukończ.	4%
szk. powsz.	78%
1 kl. gimn.	6%
2 kl. gimn.	8%
3 kl. gimn.	2%
4 kl. gimn.	1%

WIEK KANDYDATÓW:

poniżej 19 lat	2%
od 19 do 21 lat	24%
od 22 do 25 lat	45%
od 25 do 30 lat	15%
od 30 lat	3%

W OKRESIE KURSU SELEKCYJNEGO:

pracowało	40%
nie pracowało	60%

W OKRESIE TRWANIA KURSU NORMALNEGO:

pracowało	12%
uzyskało urlopy	88%

Urlopy dawało tylko Ministerstwo Przemysłu i Ministerstwo Komunikacji. Zarząd kursów stara się o lokal na bursę, jak dotychczas bez rezultatu. Instytucja kursów przygotowawczych, umożliwiających szerszy dostęp na uniwersytety młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego, — jest najpoważniejszym osiągnięciem zorganizowanej młodzieży wrocławskiej (AZWM, ZNMS).

Jak przedstawia się praca społeczna i ideowo-wychowawcza w wymienionych organizacjach?

Dla nawiązania głębszej współpracy prowadzone jest wspólne proseminarium marksistowskie ZNMS z AZWM-em Życie. Zebrania odbywają się co dwa tygodnie.

ZNMS poza akcją szkoleniową swych członków rozwija działalność na terenie wrocławskich gimnazjów i liceów, zakładając koła OMTUR-owe. Kół tych założono dotąd przeszło 10. Na kołach przeprowadzane są kursy ideologiczne, na których przeszkolono 100 osób. ZNMS-owcy, członkowie Koła Medyków prowadzą od dwóch lat stałe wykłady popularne z zakresu medycyny dla robotników. W r. 47 tego samego rodzaju wykłady popularyzacyjne z zakresu prawa prowadzone były przez prawników-zetenemsowców. W tymże roku 47 poloniści, członkowie ZNMS-u, mieli kilka wykładów popularnych z historii literatury dla wrocławskich omturowców.

ZNMS stając na platformie zjednoczeniowej nawiązuje kontakty z wszystkimi organizacjami. Przejawem tego był udział ZNMS-owców na kursie ideologicznym przeprowadzonym przez Wici. Wici, liczące na terenie akademickim ponad 300 członków, prowadzą również ożywioną i efektywną działalność zakładania kół gimnazjalnych i licealnych. Ilość kół stale wzrasta. Zorganizowany przez Akademickie Koło Wici 10-dniowy kurs prelegentów przeszkoli 45 osób, przy stałej frekwencji do 90 słuchaczy. Akademicy wiciowcy nie zapominają również o pracy w terenie. Praca w wiciowych kołach Dolnego Śląska prowadzona jest w 70 proc. przez Adademickie Koło Wici.

W miarę swych sił i możliwości starają się wymienione organizacje spełniać dwa główne zadania — udostępnić możliwość kształcenia się każdemu, a przede wszystkim dotychczas upośledzonemu robotnikowi i chłopu, oraz rozszerzać świadomość społeczną i polityczną na całość młodzieży polskiej.

W kołach naukowych panuje ospałość. A Koła te stanowią przecież bardzo ważny czynnik w poszerzaniu horyzontów, pogłębieniu wiedzy i uaktywnieniu społecznym studiującej młodzieży. Dlatego też nacisk powinien być położony między innymi na intelektualne ożywienie naukowych kół Uniwersytetu i Politechniki. Mając to na uwadze nie sposób nie wspomnieć tu o Kole Filozoficznym, które w bieżącym roku akademickim we Wrocławiu wystartowało pod hasłem intelektualnej aktywności, organizując co tydzień referaty z dyskusjami.

Zdzisław Skwarczyński

Egzotyka wiejska dla inteligencji?

JEDNĄ z ciekawszych osobliwości dwudziestolecia międzywojennego było zjawisko bujnie krzewiącego się upodobania w literaturze skandynawskiej.

Wrzód społeczny sprawy chłopskiej w Polsce groźnie ówcześnie nabrzmiewał domagając się zdecydowanych zabiegów chirurgicznych nie zaś ziemiańskiego plasterka pseudo-reformy rolnej. Wieś dusiła się z braku ziemi i nadmiaru ludności bezrobotnej. Sprzyjało to szczepieniu śród jej mieszkańców bakcylów drobnomieszczańskich idei społecznych i etycznych z antysemityzmem na czele, zakażających „morale“ społeczeństwa u podstaw.

Około roku 1925 sytuacja była zbyt wyraźna, żeby mogły istnieć wątpliwości, co do konieczności podjęcia stanowczych kroków ze strony chłopskich ugrupowań politycznych w kraju rolniczym w kierunku uzdrowienia stosunków.

Literatura mogła odegrać doniosłą rolę w mobilizacji opinii publicznej na tym odcinku.

Tymczasem stronnictwo chłopskie „Piast“ uznało, że pisarzem, którego twórczość najbardziej odpowiada sytuacji chłopa polskiego w nowym państwie i w świecie, potrzebom i głodom tej klasy — jest autor „Chłopów“.

Inicjatywa tegoż „Piasta“ w wysunięciu przez Polskę kandydatury Reymonta do nagrody Nobla wynikła z chęci uzyskania aprobaty pewnych kół europejskich na idee, jakich literacką wykładnią uczyniono naczelny utwór pisarza. Klasa, która powinna była podjąć walkę, usypiała w kadzidlanych dymach obrzędów (wierzchosławicki hołd „Piasta“ dla pisarza, akt jedności autora „Chłopów“ z klasą chłopską), reżyserowanych przez przywódców owładniętych agrarystycznymi ideami.

Szukano aprobaty tam, gdzie biły źródła sugestii o chłopie-człowieku wiecznym, sugestii, którym nadano miano i obieg „filozoficzny“ gdzie indziej.

Choć otumanionych i tumaniących przywódców klasy chłopskiej wprędce zlikwidowali niecierpliwi, dla których ewolucja w kierunku obranym przez „Piasta“ przebiegała zbyt wolno, kadzidło dla chłopów pozostało. Dymy jego rozwłóczyły się po literaturze w rozmaitych formach.

„Chłopi“ i ich kariera światowa stworzyły nie tyle pomost między obcym czytelnikiem a naszą literaturą, ile raczej przysposobiły naszą inteligencję do przyjęcia bezkrytycznie laureatów fundacji, której jury stosuje wobec pisarzy swoiste kryteria polityczne i społeczne, wreszcie otworzyły także wrota na przyjęcie bez zastrzeżeń literatury skandynawskiej.

Tłumaczono tedy dla miejskich abonentów wypożyczalni książki Knuta Hamsuna, Björne Björnsona, Selmy Lagerlöf oraz Syrydy Undset, której „Krystynę córkę Lawransa“ dziś jeszcze wznowiła „Książka“.

Upodobanie to sprowokowało Goetla do swoistego naśladownictwa („Serce lodów“).

Upodobano sobie w aurze moralnej wielkich namiętności bohaterów tych powieści, borykających się z losem chłopów wprawdzie, ale jakże wzniosłych. Któż tam popełniał zbrodnię z tak prozaicznych powodów jak spłacheć gruntu przy dziale rodzinnym? Ród? — owszem, tak. Solidarność rodowa tworząca potęgę — toż dopiero frajda dla chłopomanów. Jeśli już zdarzyły się jednak konflikty przypominające nasze — to proszę — jakie wysublimowane, bardziej płynące z dumy, niż ordynarnej potrzeby. Jakże dostojne to chłopstwo siedzące na folwarkach, jakie pańskie w nawykach i starożytne. „Surowy“ — panie — klimat i człowiek zmagający się z nim — bierze tak, że „czyta się jednym tchem“. Tak było przed wojną.

Zmieniły się u nas warunki. Problem wsi został radykalnie rozwiązany przez Państwo etc. Po głowach jednak przeciętnych inteligentów tułają się nadal resztki kadzidlanych dymów osobliwej chłopomanii. Rodzi się pytanie — co w tej dziedzinie może zdziałać literatura, nie rodzima i oryginalna — rzecz prosta, bo tej postawiono już tyle wymagań, że aż dziw bierze, dlaczego dotąd głucho wśród beletrystów o współzawodnictwie w pracy, ale najliczniejsza, najchętniej czytywana beletrystyka tłumaczona.

„Przeklęta ziemia“ *)— taki jest tytuł polski przetłumaczonej przez Zofię Szleyenową książki Blasco Ibaneza, zatytułowanej w oryginale La Barraca. Kiedy oglądaliśmy w redakcji tę książkę, ktoś wyraził przypuszczenie, biorąc pochop z rysunku na okładce przedstawiającego hiszpańskiego oracza oraz z instytucji, w której rzecz się ukazała („Książka“), że oto przyswojono naszemu czytelnikowi nareszcie jakiś utwór podchodzący pod kolor, odpowiadający potrzebom społecznym. Ktoś inny, zerknąwszy do środka, określił książkę jako ckliwą sentymentalno - nastrojową, chłopomańską bzdurę. Zaoponowano: skądżeż — takie zasłużone wydawnictwo i nagle bzdura. Raczej zainteresowanie rodowodem stosunków społecznych w Hiszpanii. Sprawdźmy.

Zaczyna się ta powieść bardzo tradycyjnie.

Świt na wsi w okolicach Walencji. Sielankowy nastrój. Dźwony wzywające na mszę ranną i pierwsi „wieśniacy“ na polach i drogach pozdrawiający się imieniem bożym. „To chłopskie pozdrowienie wymieniali z całą powagą. Ludzie mający w żyłach maurytańską krew potrafią mówić o Bogu tylko w sposób uroczysty“. Ten komentarz autorski ładnie brzmi — nieprawdaż? — podnieca nasze zainteresowanie pieprzykiem egzotyzmu etnograficznego. Potem poznajemy Pepetę, najpracowitszą i najnieszczęśliwszą chłopkę walencką. Śledząc jej zatrudnienia ranne, dowiadujemy się, że mąż jej Pimento jest notorycznym wałkoniem, zwalającym na barki żony troskę o zdobywanie środków do życia. Zapamiętajmy sobie tę cechę Pimento. Jest w tym zawarta kwalifikacja moralna, co ma znaczenie dla dalszego rozwoju powieści. W mieście, do którego Pepeta chodzi co rano, by dostarczać mleka, poznajemy prostytutkę Rosarię, córkę dawnych sąsiadów Pepety.

„Nie była to zła dziewczyna. Pracowała po fabrykach, później była służącą, ale w końcu wzięła przykład z sióstr, które zmęczone długimi latami głodu wybrały łatwą drogę. To zwykła kolej rzeczy: tam, gdzie nie ma ojca i matki, dzieci kończą źle, ale wszystkiemu był winien właściciel tej ziemi, ów don Salvador, który napewno smażył się w piekle. Cóż to za łotr! Zniszczył całą rodzinę“.

Tak dość fałszywie dźwięczy pierwsza nuta społeczna, nieudolnie raczej wpleciona w powieść.

„Patrzcie państwo, co się może stać z człowiekiem w ciągu dziesięciu lat! Któżby to powiedział przed dziesięciu laty o niej i o siostrach... — lituje się Pepeta. Były wtedy jak królowe w swoim domu... I kto by pomyślał, że skończą w tak nędzny sposób?... **O Boże, Boże, broń nas przed złymi ludźmi**“.

Ale z tokiem powieści ton społeczny przybiera na sile. Poznajemy dokładniej teraz akcję i jej bohaterów. „Przeklęta ziemia“ to działka dzierżawiona ongiś przez ojca Rosarii Barreta, działka obecnie opuszczona i zaniedbana. Barret doprowadzony wyzyskiem Salvadora, właściciela dzierżawionej ziemi, do nędzy, morduje chciwca. Za zbrodnię zostaje zesłany na galery, rodzinę zaś jego spotyka los, jakiego dla dzieci najbardziej obawiał się. Działki po Barrecie nikt nie chce dzierżawić. Jest w tym świadomy i zorganizowany protest gromady wiejskiej przeciw wyzyskowi. Otóż tę bezużytecznie leżącą działkę, obłożoną klątwą gromady, działkę, na której nikt nie miał odwagi osiąść, by nie wejść w konflikt ze społecznością wiejską — obejmuje chłop — przybysz, zdecydowany dla chleba na wszystko.

„Życie jego było nieustanną zmianą zawodu, zawsze w kręgu chłopskiej biedy“... „Pracował jak wilk (jak sam powiadał), ażeby niczego w domu nie brakowało. I Pan Bóg wynagradzał jego pracowitość i co roku obdarzał go dzieckiem. Wszystkie dzieci były piękne, zdrowe i wydawało się, że rodziły się z zębami, bo szybko porzucały pierś matczyną i wołały bez ustanku chleba“.

Dramatyczna walka Batista i jego rodziny z wrogą gromadą, kończy się klęską. Musi porzucić działkę, która wydawała mu się bezpieczną przystanią zapewniającą życie jego rodzinie. Gromada postawiła na swoim.

Pieprzykiem „sprawy społecznej“ w przedstawieniu Ibaneza jest Pimento. Autor korzysta ze sposobności, by tego przywódcę gromady i wykonawcę jej społecznej woli w walce z przybyszami, pragnącymi osiąść na przeklętej ziemi zdyskredytować doszczętnie w oczach czytelników. Wałkoń, pijak i utracjusz tego, co zarobi żona — obniża socjalny sens walki chłopów o prawo do ziemi. Niezmuszony koniecznościami, powodowany jedynie złymi instynktami nie płaci słusznie należącego się — jak sądzi autor — czynszu właścicielom ziemi, grożąc im nożem.

Gdyby nie źli właściciele, jak don Salvador świat ten nie wymagałby żadnych zmian. Jeszcze lepiej bywało ongiś sto prawie lat temu, w epoce Napoleona, kiedy to „ziemie te należały do braciszków z zakonu San Miguel de los Reyes. Byli to panowie otyli i wspaniali, ale jowialni i poczciwi. Nie śpieszyli się ze zbieraniem groszy za dzierżawę: zadawalali się tym co im dawano z dobrej woli“.

Chwalcą przeszłości jest Ibanez także, gdy prezentuje nam Trybunał Wodny, starożytną instytucję sądzącą sprawy między chłopami o wodę. Autora zaspakaja najzupełniej, że był on produktem **rewolucyjnej przeszłości**.

Obecnie: „Chłopi byli dumni ze swego Trybunału. Panowała tu sprawiedliwość co się zowie: kara była jasna i wszystko obywało się bez żadnych papierów — którymi usidla się uczciwych ludzi“.

Takich kwiatków można zebrać o wiele więcej na kartach „Ziemi przeklętej“, włącznie z moralnym potępieniem fabryk jako terenu demoralizacji młodzieży wiejskiej, która musi dodatkowo zarabiać na utrzymanie rodziny.

Wokół losów rodzin Barreta, Batista i gromady wiejskiej, domagających się od autora interpretacji socjologicznej, rozsnuta jest aura łatwego demonizmu złych losów, które sprzysięgły się przeciw bohaterom, wszystkiego tego, co tak miłe jest dla inteligencji szukającej prostoty i krzepy, silnych namiętności, cyklicznego rytmu przyrody itp. dyrdymałek.

Czyż po to Borejsza wydał ponownie swą fundamentalną książkę o walczącej Hiszpanii, by została ona zepchnięta w świadomości kulturowej drobnomieszczańskiego czytelnika przez zbeletryzowane chłopomaństwo powieści Ibaneza?

Czyżby **„Książce“** zależało na umacnianiu w czytelnikach orientalnego fatalizmu, bezradności w sprawach, które lud przedstawiony w powieści Ibaneza, lud hiszpański, zrozumiał lepiej, podejmując rewolucję? Czyim upodobaniom hołduje to kiepskie zresztą tłumaczenie dość lichej powieści?

*) Blasco Ibanez - „Ziemia przeklęta“. W-wa 1947, wyd. „Książka“, str. 194.

Genowefa Szturchaniec

Wołanie na puszczy

Nie róbmy Greków!

Awantura z wieżą Babel była jednym z najfatalniejszych przypadków w dziejach świata. Zakłopotanie naszych przodków, wywołane zdumiewającym opętaniem niegodziwych mularzy, głęboko odczuł i wyśpiewał w wieszczym szale Julian Ursyn Niemcewicz:

„Leciał Francuz z szampanem, gdy wapna wołano,
Anglik podawał rostbif, kiedy cegły chciano;
„Niechże, mularz zawołał, co prędzej kamieni!“
Polak w cwał niósł mu kawał huzarskiej pieczeni.
A tak, gdy w każdym razie ustawna przeszkoda
Porzucono budować, czego wielka szkoda“.

Tak było ongiś, gdy ludzie chcieli staremu Jehowie w „okna zaglądać“. A i później, gdy ludzkość ograniczyła znacznie swe ambicje — czymże jest bowiem demokracja ludowa, wobec tak bezbożnej wieży? — i później także niemożność porozumienia się zawisła ponurym cieniem nad losami świata.

Cóż tu mówić o terenie międzynarodowym, gdzie nikt nigdy z nikim dogadać się nie mógł, mimo, a może wskutek instytucji języka dyplomatycznego — gdy i wewnątrz jednego systemu językowego zrozumieć się jakoś nie sposób. Zbyt wygodnym chwytem polemicznym stało się bowiem „niezrozumienie“. Pozwala ono na wmawianie przeciwnikowi różnych michałków metodą „jak w chorego jaje“; — spreparowany w ten sposób delikwent może długo wołać ze łzami, że on przecież nie... i że w ogóle nigdy... Schemat polemiczny się uciera, pokolenia babelońskich publicystów będą budowały swoje wieże z kotletów, lub wybijały w nich dawno wyjedzone drzwi. Wobec sprostowań robi się Greków — jest to w nowym wydaniu, jak wiadomo plemię, którego żaden ludzki język się nie ima.

Na literackim podwórku gruntem szczególnie żyznym dla „niezrozumień“ wszelkiego rodzaju były dyskusje metodologiczne, zaktualizowane niedawno wskutek potyczek wśród młodych polonistów z kół uniwersyteckich. Różnojęzyczny bełkot, jaki się podniósł na łamach czasopism nie da się wytłumaczyć przyrodzoną mętnością rozważań tego typu, ani chwiejnością terminów naukowych literaturoznawstwa. Były to niewątpliwie świadomie zorganizowane misteria nowogreckie.

Rozpatrzmy dla przykładu po tysiąckroć wywałkowaną sprawę, **socjologizm contra formalizm**. Zdawałoby się, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy obie strony miały czas powiedzieć sobie dokładnie wszystko, co na ten temat było do powiedzenia. Obecnie jest pora bądź na praktykę badawczą, która naocznie wykaże wyższość jednej z metod, bądź na poważną pracę teoretyczną, łatającą dostrzeżone przez przeciwników luki systemu. — Panowie optymiści — zapomnieliście o naszych Grekach! Kudłate Achaje mają zawodowo czas, — kiedyś potrafili przez całe dziesięć lat wodzić się za łby o cudzą żonę, — i dziś, w epoce wojen błyskawicznych obyczaje ich nie uległy zasadniczej zmianie. Każdy problem można troić latami, wystarczy tylko w tym celu „nie rozumieć“, o co chodzi.

W myśl tej recepty wystąpił ostatnio Aleksander Jackiewicz w „Nowinach Literackich“ ze swym kawałem „huzarskiej pieczeni“ („N. L.“ — Nr 15—(56).

Jackiewicz znalazł upragniony temat do długich rozważań w obrazie zatrważających błędów recenzentów szkoły socjologicznej; — czyż być może, aby znaleźli się ludzie tak niegodni, by w „socjologicznych“ recenzjach uprawiać najostrzej przez socjologizm potępione rozważania typu „co autor miał na myśli“, albo „Mickiewicz a naród“, albo „Wokulski a kapitalizm“? Obywatelu Jackiewicz, czy aby wiecie na pewno, w którym kościele dzwonią, jeśli tak, to wskażcie czym prędzej tego niegodnego „socjologa“ — psychologistę, który stawia tak bzdurne problemy, bo chyba niepodobna, byście w tak nieinteligentny sposób zrozumieli rewelacyjne studium Kotta o „Lalce“. I po co stwarzać fikcję zastępów recenzentów wyklinających formalizm, gdy rozprawki „socjologiczne“ da się policzyć na palcach obu rąk i jednej nogi? Chyba, że w rozumieniu Jackiewicza (kryterium klasyfikacyjne „co autor ma na myśli“) „socjologami“ mianowani zostali krytycy „Tygodnika Powszechnego“; — exemplum: wnikliwe rozważania goa na temat, „czy Sygryda Undset miała na myśli człowieka wiecznego, jako takiego — i jeśli jako takiego, to jakiego i dlaczego?“.

Jackiewicz martwi się bardzo, że szkoła socjologiczna nie wypracowała dotychczas swych narzędzi, że „nie ma dotąd sposobu na pełną analizę dzieła“, a zarzuciła cały dorobek formalizmu. No, to już przechodzi nawet granicę tego, co wolno Grekom — stuknijcie się w miejsce po głowie p.t. posągu na miarę Fidiasza — jakimi narzędziami analizy dzieła literackiego może się posługiwać normalny „socjolog“, jeśli nie formalnymi; czy widzieliście zdrowego na umyśle marksistę, który wbija gwoździe popytem, a nie młotkiem?

Istotnie, szkoła socjologiczna „nie ma dotąd sposobu“, ale dlatego, że nie wypracowała dotąd metod interpretacji wszystkich chwytów formalnych, których znaczenia nie mogła nigdy lekceważyć. Wówczas dopiero osiągniemy pełne i wszechstronne widzenie dzieła literackiego. Stąd niejednokrotnie „socjologowie“ kładą główny nacisk na interpretację ideologii, stąd jednak droga do problemu „co autor miał na myśli“ jest bardzo daleka.

Tyle o impresjach p. Jackiewicza. Ale są wypadki bardziej żenujące: oto sędziwy formalista - profesor K. W. Zawodziński również przyodział się w chlamidę i hasa po „Dziś i Jutro“. Tam bowiem złożył ostatnio skołataną głowę. „Niezrozumienia“ Zawodzińskiego są nieodparcie zabawne, bo słuchajcie, jakich to argumentów użył, jaką skomplikowaną machinę dowodową zbudował znakomity profesor, aby poprzeć rewelacyjną tezę, że nie można rezygnować z formalnych narzędzi badawczych: oto G. A. Gukowskij u dołu str. 219 dzieła „Literatura rosyjska XVIII w.“ napisał... — Panie profesorze, doprawdy szkoda trudu na rycie po przypiskach u dołu str. 219 — o tym w Związku Radzieckim wie każdy zasmarkany Wańka z dziesięciolatki, a w Polsce co drugi student.

Jeszcze większą greczyzną, zakrawającą na świadome mydlenie oczu, jest plątanina zręcznie przeczących sobie zdań, poświęconych sprecyzowaniu postawy badawczej W. Żyrmuńskiego, z których w końcu wynika, że formalizm i socjologizm nie mają nic sprzecznego, bo „są ujęciami zagadnień literackich na różnych płaszczyznach i nigdy nie powinny się zetknąć“. Więc tyle o ideologicznym sensie artystycznego kształtu dzieła literackiego wyczytał znakomity profesor w przypiskach współczesnego literaturoznawstwa radzieckiego? Winszujemy wnikliwości i zręczności. No, a poza tym oklepane brednie o rozpowszechnionej w Polsce wulgarnej krytyce socjologicznej, — czy aby nie wiatraki, prosz pampsora? — oraz uparte mieszanie socjologii literatury z metodą socjologiczną, — jak na jeden artykuł chyba starczy? — Nie, na zakończenie jeszcze jeden dowcip. Udoskonalona metoda formalistyczna ma wejść w ramy prawidłowo rozbudowanego literaturoznawstwa marksistowskiego (po trzykroć zgoda!) — ale jak: o tym informują nas... poloniści poznańscy. Tak, tak, zacna młodzi narodowa, staliście się teoretykami marksizmu! I nie wstyd wam! A już dawno ostrzegano: nie ufajcie Grekom („Timeo Danaos...“).

Ale oddajmy głos oskarżonym. W nr. 39 „Nowin Literackich“ Koło Polonistów Uniwersytetu Poznańskiego zamieściło list w związku z dyskusjami po Zjeździe Kół Polonistycznych w Krakowie. Stwierdzono tam, że pierwszym etapem pracy badawczej jest „badanie formalne dzieła. Następną funkcją jest badanie historyczno - literackie (geneza i włączenie dzieła w nurt epoki) a wreszcie krytyka dzieła“. — Szkoda tylko, że w. w. zacna młodź przez „epokę“ rozumiała ciąg formalnej tradycji literackiej, ale poza tym kubek w kubek Timofiejew — prawda, panie profesorze!

Tak oto wyglądają na przykładzie popisy mniejszych i większych Greków, ale to niższe piętra wieży Babel — na szczytach szaleje Kisiel, nakazując braciom w Chrystusie uczyć się dla niepoznaki po japońsku. („Tygodnik Powszechny“ nr. 160 — „Uczmy się po japońsku“).

Ten patriotyczny nakaz chwili został wydany pod wpływem starej anegdotki: „Sędzia zapytuje skazanego: — Jakie jest pańskie ostatnie życzenie przed śmiercią? — Chciałbym się nauczyć po japońsku — brzmi odpowiedź“. Kisiel nie posiada się z radości: — Oto ustami skazańców przemówiła prawda. Cześć wytężonym, bezinteresownym wysiłkom, cześć uprawianiu „tak do niczego nieprzydatnych czynności“, jak japońszczyzna, jazda na nartach, jak symfonie Mozarta itp. Służy to bowiem celom duchowym; — „w każdej z tych mało na pozór ważnych dziedzin ludzkiego działania, (nie wyłączając nart) tkwi odbicie pewnego ogólnego, absolutnego wzoru, miniaturowa wizja ponadczasowej doskonałości“. „Marks, Engels, Kautsky i Żółkiewski mogą sobie tysiąc dni kiwać siwymi brodami...“

Kisiel ma rację, że chce to przełożyć na japońszczyznę. Nawet po grecku brzmiałoby to na zbyt głupio. Tylko, że ów chytry i bynajmniej nie bezinteresowny skazaniec na pewno nie nabrał sędziego na tak długoterminowe odroczenie kary, i na pewno Kisiel nie nabierze nikogo na takie rady, jak: „Zadumaj się głęboko nad tą historią i przypomnij sobie jeszcze zdanie starego, wąsatego Marszałka w maciejówce: „Nie wierz temu, kto ci mówi, że głową muru nie przebijesz.“ Oczywiście, przebić mur głową jest bardzo łatwo, trzeba tylko chcieć. Proponuję więc wspólne i systematyczne walenie głową w mur.“ — Nareszcie szlachetny samuraj puścił farbę: więc i tu japońszczyzna i spory o ponadczasową doskonałość sztuki nie są bezinteresowne. Żal nam tylko Kisiela: jest młody, zapalony, choć nierozsądny i nie widzi, jak go w „Tygodniku“ wyzyskują. Oni tam sobie spokojnie rozprawiają o rozwoju nauk biblijnych, a ty, Kisielu, kładź zdrową półgłówkę za Ewangelię. To zupełnie jak w znanej balladzie ze „Śpiewów historycznych“:

„Na Wiślnej cisza, księża śpią błogo,
A tylko coś stuka w kółko;
Zdyszany Kisiel w brudnym kimonie
Łbem kopie dół pod Gomułką“.

Miłosierni O. O. Bonifratrzy, wejrzyjcie w te oburzające praktyki!

A jeśli chodzi o naszą wieżę, to połączone wysiłki Greków i Japończyków nie przyniosą wiele szkody, także i walenie głową w mur nie jest groźne — nie „porzucimy budować“.

BARTOSZ

ZNACIE ICH?

Krótka rozprawa między wójtem i plebanem



— ...Miła mi inteligencjo akademicka, — rozpoczął przemówienie prefekt prowincjonalnego gimnazjum do licznie zgromadzonej przy stole młodzieży — mamy tu przedstawicieli całego społeczeństwa: przyszłych lekarzy, adwokatów, inżynierów i duchownych. Żyjemy w zaiste ciężkich czasach, czasach prób tworzenia sztucznych nowotworów społecznych, że wspomnę tu tylko niesławny sojusz robotniczo - chłopski z nigdy nieokreśloną inteligencją pracującą. Te próby usuwania przyrodzonych, naturalnych różnic między ludźmi przeczą odwiecznemu porządkowi świata. Wszyscyśmy wprawdzie stworzeni na podobieństwo Boże, ale przecież jasne, że każdy z nas jest inny. Stąd też powstały klasy społeczne jako miara i wynagrodzenie za większe lub mniejsze zasługi obywatelskie. Historia naszego narodu jeden zna tylko sojusz odwieczny — inteligencji z kościołem. Jego zdrowie miła kościołowi inteligencjo!

Akademicy piją na ogół chętnie. Zaspokoiwszy pierwszy głód prawił ksiądz prefekt dalej:

— Jesteśmy na ogół zadowoleni z naszej młodzieży akademickiej; duża przecież jej część należy do Caritas Academica. Zdarzają się jednak wypadki, że młodzież zrywa z tradycją, którą zadokumentowała w 1936 r. w czasie pielgrzymki na Jasną Górę. W naszym mieście jest niestety jeden taki akademik pan Piotr Pigwa z czerwonej Łodzi, który usiłował na łamach bezbożnego pisma „Wieś" ośmieszyć religijne praktyki święcenia pól na wiosnę, aby Pan nasz lepsze zbiory wydarzył.

— A cóż takiego on wypisywał, proszę księdza — zapytałem.

— Że kościół, moje dziecko, uprawia ziemię przy pomocy techniki magicznej, którą wyprowadza dziś ateistyczna socjologia z totemizmu plemion indiańskich...

— Ksiądz zatem sądzi, że woda święcona zastąpi...

— Moje dziecko, nie zbaczajmy z tematu. Ja chcę powiedzieć, że kościół ma piękną tradycję dysput publicznych, ale z dzisiejszymi publicystami lewicy nie można rozmawiać. Oni się na nas pienią, ale nie mają odwagi z nami jawnie dyskutować. Najchętniej pozamykaliby nas w więzieniach. W całej historii kościoła nie znajdziemy takich argumentów.

— No, a inkwizycja, proszę księdza prefekta...

— Nie przerywaj mi, moje dziecko. Z tobą naprzykład mogę mówić, moje dziecko, choć mi się wydajesz nazbyt śmiały. Ale, ale, jak się nazywasz, bo zapomniałem?

Piotr Pigwa — proszę księdza i bardzo się cieszę, że będę mógł z księdzem podyskutować.

Niestety, poczciwy prefekt przypomniał sobie właśnie, że ma ważne zebranie pań z tow. Św. Zyty i... musiał tam bezwzględnie być.

Niepocieszony

Demokraci — nawróćcie się!

(W kawiarni prowincjonalnego miasta)



— Szacunek kochanemu demokracie! O czym to kolega myśli?

—O młodzieży prowincjonalnej.

— Po co się pan tak męczy! I tak nie w tę stronę pójdzie świat, jak pan myśli. Mówił mi dziś — dyrektor...

— Jaki dyrektor?

— Był przed wojną dyrektorem fabryki i będzie nim po wojnie!

— Po jakiej wojnie?

— Mój Boże! Czyta pan tylko tę blokową prasę, pisze do różnych „Wsi", nie bywa w kołach dobrze poinformowanych i nie słucha „Głosu Ameryki" — to pewno, że nic pan nie wie.

— No, a cóż takiego mam wiedzieć?

— Człowieku, w jakim świecie pan żyje? Przecież wojna już się na nowo zaczęła. Nie tylko dyrektor ale nawet pan radca...

— Co znowu za radca?

— Z przedwojennego Ministerstwa Wojny — kochasiu. Kto jak kto, ale on już dobrze wie co mówi: (zniżonym głosem) nad Berlinem zestrzelił ich myśliwiec angielskiego Lancastera! Na całym świecie mobilizacja! U nas też! — Pan myśli, że Służba Polsce — to co jest?

—Jak to co? Awangarda ruchu odbudowy zniszczonej ojczyzny.

— Pan wie, co pan jest? Pan jesteś owoc propagandy, czyli ostatni mohikanin, wierzący jeszcze w tę ich odbudowę. Przecież to jest właśnie wojskowa mobilizacja. Nie widziałeś pan 15-stej Kroniki Filmowej?

— Widziałem.

— No to oni tam sami pokazali, że badanie lekarskie było zupełnie jak do wojska, że młodzież pakują do lotnictwa i każą kopać rowy strzeleckie. Demokratyczni, pewni dostają już podobno karabiny i będą pilnować niebłagonadiożnych. Mówił mi właśnie naczelnik...

— Jaki naczelnik?

— Z Ministerstwa Oświaty, oczywiście przedwojennego. Powiedział mi proszę pana, że teraz mają się zabrać do akademików i harcerstwa. Nie zobaczysz pan już więcej dawnych obozów letnich. Kwiat naszej inteligenckiej młodzieży zostanie zmuszony do pracy fizycznej nad fortyfikacją kraju.

— I co z tego wszystkiego będzie, niech mi pan powie?

— Co będzie? Alianci uderzą ze wszystkich stron i w parę miesięcy będzie po krzyku. Wtedy zobaczy mnie pan już nie w roli urabiającego zdrową opinię publiczną, ale na właściwym stanowisku.

—Na jakim, jeśli można spytać?

— Jak za dobrych przedwojennych lat. Przedstawiciel Standart Oil Company na Polskę. Może pan liczyć na moje poparcie. Narazie jednak niech pan milczy na temat naszej rozmowy. Siła przed prawem jest jeszcze...

Więc milczę.

Niezorientowany.

Kiedy się zwiedza fabrykę



Drogi Polo!

Wczoraj byłam razem z paczką kolegów chemików w krakowskiej garbarni. Pojechaliśmy hen, gdzieś na Dębniki, ale odrazu przestaliśmy się dziwić, że garbarnie buduje się za miastem. Dziś jeszcze z rozpaczą stwierdzam, że mój nowy wiosenny płaszcz (z materiału, który mi kotku przysłałeś) jest przesycony tamtejszym „odorem" mimo, iż go wietrzyłam i skropiłam wodą kolońską. Jak się tak dziś troszczą o robotnika to mogliby w takiej garbarni rozpylać wodę kolońską, jak to robiono, naturalnie przed wojną, w wytworniejszych kinach.

Przybita jestem warunkami, w jakich musi pracować robotnik. Nie dały mi spać te okropne doły cementowe z setkami obślizgłych, odwłosionych skór i ludzie brudni, nieestetycznie wyglądający o mocnych żylastych rękach ciągnący skórne płachty żelaznymi hakami. Bałam się okropnie, że który z nich spadnie do wapiennej kąpieli, bo przecież tak wąskie były przejścia między kanałami.

Widać było troskę o podniesienie produkcji, widziałam napisy na ścianach, wzywające do wyścigu pracy. Jednego jakoś nie mogłam wyczuć: troski o człowieka. Może jestem przeczulona, może mi się tylko wydawało, że skóra jest tu bożyszczem, na którego ołtarzu wiele trzeba poświęcić.. Ostatecznie twoja kicia wstała z bólem głowy, przejęta jak nigdy, a już najgorsze te sińce pod oczami a jak na złość wieczorem rozpoczynamy wiosenny karnawał. Jakże będę wyglądać na zabawie!?

Wybacz, że ci to wszystko wypisuję, ale chcę żebyś zrozumiał, jak bardzo jestem wzruszona Twoim nowym podarunkiem. Ta angielska torba świetnie pasuje do mojej sportowej sukienki. I skóra na niej delikatna, taka milusia — wiem, wiem — troszczysz się o moją nadwrażliwość na wszelkie ludzkie niedole i chcesz mi umilić to życie pełne smutnych wrażeń. Ach, jakaż jest wielka różnica między skórą, tą z garbarni, a tą — od Ciebie.

P. S. A co dostanie kicia za wzruszanie się dolą szarego człowieka?

Jola

List Wiciarza — licealisty

Szanowny Redaktorze!

Na warszawskim Zjeździe Akademików i Licealistów Wiciarzy wzywaliście w pięknych słowach nas — licealistów do pogłębiania samowiedzy społecznej poza obowiązującym programem szkolnego nauczania. Mówiliście, że na studiującej młodzieży wiciowej spoczęło wielkie zadanie zdobycia gruntownego poznania dziejów ruchu ludowego, że trzeba ten ruch badać naukowymi metodami choćby na własnym terenie. Słuchaliśmy z zainteresowaniem i biliśmy Wam brawo ze szczerego serca, no bo naszym zdaniem macie rację!

Donoszę Panu Redaktorowi, że w naszym kole postawiliśmy sobie zaraz po powrocie z Warszawy zagadnienie poznania kulturalnej, społecznej i gospodarczej rzeczywistości wsi w szerszym zakresie niż to daje gimnazjum ogólnokształcące i liceum. Napotkaliśmy jednak na niebylejakie trudności. O nich będzie reszta tego listu.

Nasze koło, jak zresztą i inne w naszym prowincjonalnym mieście (jest ich razem 3) nie jest zaopatrzone w narzędzia badań. Biblioteka szkolna, wprawdzie już pokaźna, nie ma prawie wcale odpowiednich dla pracy wiciowej książek. Nie mamy w dalszym ciągu ani „Dziejów Chłopów" — prof. Śreniowskiego, ani Jerzego Tepichta — O wsi w planie trzyletnim, Tadeusza Reka — Historia Ruchu Ludowego, czy Waszych „Drogowskazów na manowcach kultury ludowej". Wymieniam te pozycje książkowe jedynie dla przykładu. Można by je oczywiście znacznie powiększyć. Na własną bibliotekę nie możemy sobie pozwolić.

Świetlica naszego Gimnazjum posiada bardzo nieliczne pisma. Nie prenumeruje się np. Waszej „Wsi". Czytamy jedynie „Wici", ale dla nas — licealistów jest to przecież niewystarczająca lektura.

Aktualna problematyka wsi nie jest należycie uwzględniana przy nauczaniu zagadnień życia współczesnego.

Nie wiemy gdzie szukać przyczyn, ale z ramienia Związku Młodzieży Wiejskiej nikt dotąd jeszcze u nas nie był, nie otrzymujemy żadnych instrukcji, nie prowadzi się także żadnej akcji odczytowej i dyskusyjnej. Czyżby to prawda (często tak słychać). że „Wici" zamiast płonąć — przygasają? Liczymy, że od Was z Redakcji przyjedzie ktoś z odczytem do nas.

Nie dziwcie się Panie Redaktorze, temu listowi, ale naprawdę młodzież wiciowa z prowincji nadal nie ma pełnego kontaktu z aktualnymi zagadnieniami ustrojowymi. Gimnazjum ogólnokształcące jest wciąż jeszcze zaściankiem dobrzyńskim.

Nie wiemy, czy zechcecie ogłosić ten list. Gdybyście się zdecydowali — dodajcie jeszcze: młodzież wiciowa z liceów chce już teraz podjąć przypadającą jej rolę społeczną. Chce się do tej pracy uzbroić intelektualnie. Nie nadarmo przecież zdeklarowała się na warszawskim zjeździe. Wołamy więc o odpowiednie książki, prasę ludową, odczyty, szerokie powiązania z resztą ruchu młodzieżowego. Inaczej nie będziemy mogli zaznaczyć się godną wzmianki działalnością.

Wam i całemu Zespołowi przesyłamy wiciowe pozdrowienia.

Radom, 25 marca 1948 r.

Jerzy Madej

Od Redakcji:

Mamy nadzieję, że Zarząd Główny ZMW RP „Wici" zwróci uwagę nie tylko na list wiciarza-licealisty ale i na rozrastające się szybko licealne koła wiciowe.

Prosimy również Kuratoria poszczególnych okręgów szkolnych o zainteresowanie się bibliotekami szkolnymi i prasą w świetlicach.

Ze strony Redakcji zapewniamy kolegów, że z odczytami do Was przyjedziemy. Nawiążemy także przez listy i ankiety kontakt z Wami.

Książki nadesłane do redakcji

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"
WIEDZA POWSZECHNA

Portrety literackie:

A. Boleski — Zygmunt Krasiński
T. Czapczyński — Aleksander Fredro.
J. Z. Jakubowski — Henryk Sienkiewicz.
Z. Klarner — Eliza Orzeszkowa.
J. Kulczycka - Saloni — Bolesław Prus.
E. Sawrymowicz — Jan Kasprowicz.

Literatura dawnej Polski:

J. Krzyżanowski — Jan Kochanowski i humanizm w Polsce.
— Mikołaj Rej i rodzima kultura literacka jego czasów.
— Początki poezji w Polsce.
— U kolebki naszej literatury.

Romantyzm Polski:

St. Kolbuszewski — Twórczość Mickiewicza w kraju i w Rosji.
— Twórczość Mickiewicza na emigracji.

Polscy pisarze polityczni i społeczni:

A. Kowalska — Andrzej Frycz Modrzewski.
J. Kulczycka - Saloni — Maurycy Mochnacki.

Malarze polscy:

M. Wallis — Julian Fałat.
— Artur Grottger.

Przechadzki Ateńskie:

W. Witwicki — Propyleje.

Muzyka i muzycy polscy:

J. W. Reiss — Polskie skrzypce i polscy skrzypkowie.
K. Stromenger — Stanisław Moniuszko, twórca pieśni i oper.
Zdz. Jachimecki — Mikołaj Gomółka i jego poprzednicy w historii muzyki polskiej.
K. Stromenger — Fryderyk Chopin.
Zdz. Jachimecki — Muzyka kościelna Moniuszki.
H. Pomorska — Karol Kurpiński.
E. Altberg — Polscy pianiści.

Prasłowiańszczyzna i Polska pierwotna:

Zdz. Adam Rajewski — Jak żyli nasi przodkowie w zaraniu dziejów.
B Kostrzewski — Rzemiosło u Polan.
W. Hensel — Osadnictwo i budownictwo prapolskie.
J. Kostrzewski — Słowianie i Germanie w pradziejach Polski.
W. Hensel — Kłamstwa nauki niemieckiej o Słowianach.
K. Jażdżewski — Gdzie była prakolebka Słowian.
Zdz. A. Rajewski — Biskupin gród prasłowiański.
J. Kostrzewski — Zabytki przedhistoryczne i sposób ich badania.
— Kultura prasłowiańska.

Wielkie ośrodki najstarszej kultury:

M. H. Serejski — Bizancjum.
B. Baranowski — Najazdy ludów stepowych.
— Arabowie i Państwa Arabskie.
E. Słuszkiewicz — Indie Starożytne.
J. Chmielewski — Chiny przedwczorajsze i wczorajsze.

Europa feudalna:

T. Manteuffel — Feudalizm — ustrój społeczny i polityczny.
A. Gieysztor — Cesarstwo i papiestwo w walce o władzę powszechną.
K. Tymieniecki — Starożytność w kulturze wczesnego średniowiecza.
St. Zajączkowski — Świat słowiański.
H. Ewert- Kappesowa i J. Schoenbrenner — Wyprawy Krzyżowe (Krucjaty).
A. Gieysztor — Powstanie Państw Narodowych.

Wiadomości z psychologii:

W. Witwicki — Uczucia estetyczne.
— Podział życia psychicznego — uwaga, pamięć, fantazja.
— Wrażenia zmysłowe.
— Świat wewnętrzny i drogi do niego.
— Widzenie utworów przestrzennych.
— Instynkty, uczucia, afekty.
— Myślenie.

Surowce w polityce światowej:

J. Sobczak — Walka o kauczuk.
— Walka o naftę.

Medycyna społeczna:

W. Poll — Jaglica.
A. Handelzalc — Gruźlica i jej zwalczanie.
— Choroby nowotworowe.

Przełomowe odkrycia w medycynie:

J. Oknowski — Przetaczanie krwi.
A. Handelzalc — Promienie Roentgena i ich znaczenie w medycynie.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—024326